Rok IV. Nr. 2.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO à PAULO.

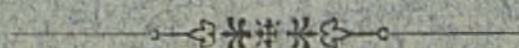


Kwiecień.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy
1898.

TREŚĆ ZESZYTU.





Pani Ludwika de Marillac wdowa po panu Le Gras, sekretarzu Królowej Maryi de Medicis, założycielka i pierwsza przełożona Sióstr Miłosierdzia posługujących ubogim chorym, pochowana w kaplicy Nawiedzenia Kościoła parafialnego św. Wawrzyńca w Paryżu, przeniesiona dla pociechy Zgromadzenia do kaplicy domu Macierzyńskiego na ulicy du Bac 29 czerwca 1815. Prawdziwa Matka ubogich, Wzór wszystkich cnót, zasługująca na spoczynek wieczny. Oby Jej czcigodne szczątki, przypominające Jej miłość, rozbudziły Jej ducha.

Ogłoszona świątobliwą dnia 10 czerwca 1895.

(Napis na kamieniu grobowym).

Cuda i łaski

zdziałane za przyczyną Świątobliwej Ludwiki de Marillac i przyczyną Najśw. Panny Maryi od Cud. Med.

List pewnej Siostry Miłosierdzia do ks. Milon'a, Sekretarza generalnego Zgromadzenia Misyi.

Szpital wojskowy w N... d. 21. XI. 1897.

Łaska Pana naszego niech zawsze będzie z nami!

Przewielebny Ojcze!

Czyż może być większa radość dla Siostry Miłosierdzia nad sprawdzenie potęgi Swiątobliwej Matki? Opiszę zatem Przew. Ojcu pocieszające i bez wątpienia nadzwyczajne wypadki, które zdarzyły się w naszym szpitalu, a dotyczą one aż trzech chorych.

Piątego marca przybył do naszego lazaretu młody huzar. Dzielny ten młodzieniec, choć już od dwóch miesięcy nosił w sobie zaród choroby, nie myślał jednak o słabości; opuścił dopiero służbę, gdy stracił zupełnie siły. Przy zbadaniu choroby okazało się, że cierpi na zapalenie błony mózgowej. W kilka dni potem podczas auskultacyi dostrzeżono jeszcze zapalenie prawej części płuc. Stan zdrowia żołnierza był niebezpieczny i budził zupełnie uzasadnioną obawę tak ze strony lekarza, jak i siostry, mającej nadzór nad salą. Zamierzano sprowadzić księdza, lecz na nieszczęście chory, wskutek nagłego osłabienia, stracił zupełnie przytomność, nim zdołał wyrazić chęć spowiadania się. Jeżeli serce Siostry Miłosier-

dzia krwawi się z bólu, czyż to nie następuje przedewszystkiem wówczas, gdy, czuwając przy łożu szpitalnem, widzi, że dusza chorego stanie wkrótce przed Sędzią, bez możności pojednania się z nim? Ale wielkiem jest miłosierdzie boskie, a to, że możemy go wzywać stanowi największą naszą pociechę. Zarówno i łaskawość Dziewicy Niepokalanej, której medal rozdajemy wszystkim, nie zna granic. Niebawem wpadło mi na myśl ucieknij się do Swiętobliwej Ludwiki de Marillac. Lecz zaraz zaczęłam się wahać, czy zechce mnie wysłuchać. Wyznam z pokorą, że nawet zwątpienie mię ogarnęło. Myślałam sobie, czyż nie byłoby skuteczniej wezwać pomocy Swiętych, jak: św. Wincentego à Paulo, a zwłaszcza Najśw. Maryi Panny od Cudownego Medalika. Wśród starcia się wzajemnego wręcz odmiennych myśli, myśl pierwsza wzięła górę; postanowiłam zatem uciec się do Swiętobliwej Założycielki. Podczas modlitw porannych i wieczornych przeniosłam się w duchu przed łoże chorego żołnierza i z całego serca modliłam się za niego. Ilekroć zaś wśród dnia przechodziłam obok jego łoża, modlitwa krótka, lecz gorąca wydobywała się z mego serca na intencyą chorego. Nie byłam jednak zbyt wiele wymagająca w mych żądaniach. Modliłam się tylko, by nieszczęśliwy mógł przyjść do przytomności, a to w celu wyspowiadania się przed nieuniknioną śmiercią. Za to Ludwika de Marillac okazała się bardzo szczodrą i tą razą spełniła się znowu tak droga sercu św. Wincentego obietnica naszego Zbawcy: Szukajcie najpierw królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a wszystko inne będzie wam przydane.

Przez cztery dni (od 16—20 marca) leżał chory bez przytomności, i żaden objaw nie rokował polepszenia. Dnia 21 marca z rana lekarz podczas codziennej wizyty zastał go w niespodziewanym stanie; rozmawiał bowiem

i śmiał się. Pozostało tylko kilka lekkich oznak przebytych cierpień i osłabienie, które musiało nastąpić po wywiązaniu się drugiej choroby. Zacny major, widząc tak nagły zwrot, nie chciał wierzyć swym oczom. Nazajutrz rano witając chorego z radością i wyrażając swe zdziwienie, zwiastował mu powrót do zdrowia.

Prawie w tym samym czasie był w lazarecie inny żołnierz, z tego samego pułku, z którego pochodził uzdrowiony huzar, cierpiący także na zapalenie mózgu. Ośmielona pierwszem powodzeniem, które przeszło me oczekiwania, postanowiłam znowu prosić Świątobliwej Ludwiki de Marillac; tą jednak razą dołączyłam obietnicę, że poproszę Wielebnego Ojca o łaskawe umieszczenie w Rocznikach uzdrowienia, jeżeli chory żołnierz, którego stan był beznadziejny, uzyska zdrowie. I tą razą byłam wysłuchaną. Chwała zatem i dzięki naszej Matce! Zrozumie Wielebny Ojciec, dlaczego miło mi jest uściśić się z tej obietnicy i obowiązku wdzięczności. Lecz początkowo nie okazałam wcale uczucia wdzięczności, które winnoby mię ogarnąć. Dlaczego? Nie potrafiłabym na to pytanie odpowiedzieć. Z czasem ufność ma w pomoc Świątobliwej Założycielki znacznie osłabła, ale rozniecił ją nowy dowód Jej potęgi.

Po pewnym czasie przybył na oddział szpitalny młody żołnierz z 79-go pułku, cierpiący na zapalenie gardła. Niespodziewając się wcale, by nieznaczna początkowo boleść sprowadzić mogła poważne następstwa, nie myślał o niej, aż z powodu wzmożenia się choroby został odesłany do lazaretu. Wrzodziki żółte, miejscami nagromadzone i przylegające do siebie otoczyły migdały, grożąc jeszcze większem rozszerzeniem się. Od czasu do czasu wyciągano je, a wzrosły do tego stopnia, że wielkością dochodziły orzecha; niestety po usunięciu starych, występowały nowe. Była to niebezpieczna choroba t. zw.

dyfterya. Po zbadaniu jej wstrzykiwano choremu surowicę, jako środek zaradczy, i czynność tę powtarzano przez dni następne. Chory spowiadał się, ale stracił nadzieję powrotu do zdrowia. Pod wpływem kuracyi wrzody chwilowo ustępowały, lecz w krótce wytwarzały się nowe. Nie dość na tem. Równocześnie pojawiają się symptomy zastraszające jak: mdłości, trwające dłuższy czas i powtarzające się często, gwałtowna boleść serca, puls nadzwyczaj słaby i przyspieszony. Na podobny stan zdrowia sztuka lekarska nic nie poradzi. Rzeczywiście lekarz w sprawozdaniu do Oddziału zdrowia wspomina, że cierpiący na dyfteryę, w których podobne objawy się pokazują, umierają nagle, że podobny stan jest pewną, niewątpliwą oznaką zbliżającej się śmierci.

Lecz nieszczęścia, z których postęp umiejętności, ocalić nie zdoła, są w ręku Boga, władcy życia i śmierci. W kilka dni podczas modlitw wieczornych przyszło mi na myśl, że wypadałoby polecić chorego Swiętobl. pannie le Gras; jak za pierwszym razem tak i teraz wkradło się do serca mego powątpiewanie, ale już tego samego dnia myśl lepsza odniosła zwycięstwo.

Postanowiłam odprawić nowennę, a zarazem przyrzekłam Swiętobl. Matce, że w razie uproszenia zdrowia choremu żołnierzowi uwiadomię o tem Wielebnego Ojca. Nazajutrz rano przechodząc koło łoża chorobą złożonego młodzieńca powiedziałam mu o mym zamiarze i prosząc go, by modły swe połączył z memi, tego samego dnia rozpoczęłam nowennę. Pociechę wielką mi sprawiał widok żołnierza łączącego gorące swe modlitwy z mojemi, wzywającego z ufnością cieszącej się niebem wspomożycielki, nieznanej mu i powtarzającego: „Dobra Matko! miej litość nademną, módl się za mną!“ jeszcze przed ukończeniem nowenny, chory wsparty modlitwą panny le Gras, szybko powracał do zdrowia. Wyzdrowienie, a zwłaszcza sposób

niezwykły wyrwania się śmierci po przesileniu, trwającem 36 godzin, był dla lekarza niezwykłym faktem, nie dającym się wytłómaczyć sposobem naturalnym. Nie omieszkał przeto umieścić swego poglądu na chorobę w końcu sprawozdania do władz zajmujących się zdrowiem żołnierzy.

Czyż nie mam słuszności po tym zwłaszcza wypadku, uważać zdarzenia tego za łaskę, za którą winnam wdzięczność Swiętbl. Matce?

Ośmielam się przeto prosić Wielebnego Ojca o łaskawą pomoc w dopełnieniu drogiego mi obowiązku.

N. Siostra Miłosierdzia.

Z listu Siostry N.

Tczew, Dom św. Wincentego d. 29 stycz. 1898.

W listopadzie r. z. przyprowadzono nam do zakładu chłopczyka 13-to letniego z okropnie rozranioną twarzą. Chłopiec był bardzo blady i do ostateczności wychudzony; prawa połowa twarzy była tylko jedną raną, która się rozszerzała aż po za ucho i szyję; oko zapuchnięte i całkiem ropą zalane.

Siostra będąca przy chorych już kilkanaście lat przywykła do widoku ran najrozmaitszych — tu przecież nie mogła się wstrzymać od wyrażenia swego zadziwienia jak można było czekać aż do takiej ostateczności i dopiero teraz oddać chorego do zakładu.

Strapiona matka przyznała, że chłopiec już 10 tygodni chory i że skoro się twarz zaczęła jątrzyć, zaraz się z nim udała do lekarza, który spróbowawszy najrozmaitszych środków bez żadnego polepszenia, oświadczył w końcu, iż chyba tylko spieszna operacya mogłaby zapobiedz większemu rozszerzeniu się rany. Matka za-

wiozła też chłopca do lazaretu, którego lekarz istotnie jest bardzo zręcznym i sławnym operatorem. W tym zakładzie, w którym są także nasze Siostry, biedny chory zostawał przez 7 tygodni nie doznawszy najmniejszego polepszenia i owszem lekarz powiedział matce, że dla chłopca nie ma już żadnej pomocy. Właśnie tego dnia wracała z nim z lazaretu i po drodze zatrzymała się w Tczewie, żeby nawiedzić tu rodzonego brata. Ten zobaczywszy do ostateczności zmarnowanego chłopca i obawiając się, że z osłabienia może umrzeć w drodze, namówił siostrę, żeby go oddała do naszego zakładu. Lekarz zakładowy zobaczywszy chorego, kazał oświadczyć matce, że dla niego już nie ma ratunku, żeby się nie łudziła próżną nadzieją, bo chłopiec będzie musiał wnet umrzeć.

Nazajutrz odbyła się przy innym chorym większa operacya, przy której asystowało dwóch lekarzy. Po ukończeniu tejże kazali przyprowadzić sobie owego chłopca. Odurzywszy go chloroformem chcieli, jak mówili, przynajmniej ranę trochę wyczyścić i przekonać się, czy kość już jest bardzo nadpsuta. Lecz przekonali się, że było daleko gorzej aniżeli sądzili i obydwaj wręcz oświadczyli, że chłopiec długo już żyć nie może. Zaraz następnego dnia Siostra przygotowała chorego do przyjęcia ostatnich Sakramentów św. Wiatyku, wprawdzie nie mógł przyjąć, bo dla zbolałej szczęki nie mógł ust dostatecznie otworzyć, lecz pięknie się wyspowiadał i z budującą pobożnością przyjął olejem świętym namaszczenie. Podczas modlitwy dziękczynnej Siostra od chorych uczuła niezmierny żal nad biedną matką, która bardzo bolała, że wkrótce utraci najstarszego syna, i nagle przyszła jej myśl o cudownym medaliku. Najprzód starała się pobudzić chorego do wielkiej ufności w pomoc naszej Niepokalanej i przeczystej Matki, mówiąc mu, że jeżeli z żywą wiarą i ufnością o zdrowie prosić będzie, może go Matka Boska wysłuchać.

Zawiesiwszy mu medaliczek na szyję, rozpoczęła z nim nowennę, do Najświęt. Panny od Cudownego Medalu, do której też inni chorzy się przyłączyli, Przyobiecała tej dobrej i tak łaskawej Matce naszej, że jeżeli raczy wysłuchać tę prośbę i przywróci zdrowie biednemu chłopcu, publicznie Jej za to podziękujemy.

I otóż ta najświętsza Panienka rzeczywiście wysłuchać raczyła nasze korne modlitwy.

Zaraz następnego dnia po zaczęciu nowenny lekarz chcąc zmienić opatrunek, gdy zobaczył ranę nie mógł wyjść z podziwienia i kilka razy powtarzał: „niech tylko Siostra patrzy — rana zupełnie inaczej wygląda — już jest daleko lepiej“. I rzeczywiście, rany od dnia do dnia się zmniejszały i widocznie się goiły. Dziś chłopiec zdrów zupełnie — czerstwo wygląda i zaledwo kilka małych blizn pozostało na miejscu, gdzie niedawno jeszcze były brzydkie i szerokie rany. Kiedy lekarz nie mógł utaić swego zadziwienia co się tu stało, że chłopiec, który krótko przedtem nie dawał żadnej nadziei, teraz zdrów zupełnie, — Siostra opowiedziała mu jak się to stało — że Najśw. Pannie zawdzięcza swoje uzdrowienie. Na to jej odpowiedział: „tak prawdziwie — to jest cudowne!“ (Nasz lekarz jest katolikiem).

Tczew. Dom chorych św. Wincentego.

Przyczynki do żywotu św. Wincentego à Paulo.

I. Wspomnienie po św. Wincentym à Paulo w Heilly w Pikardyi [1].

Heilly, w okręgu Korbijskim, nad brzegiem rz. Ancre jest wioską mającą zaledwo 525 mieszkańców. Nazwę swą ma od starego zameczyska, którego ruiny po dziś dzień oglądać można. Dewiza zamkowa: „Heilly nie potrzebuje wcale pomocy“ okazuje wiele dumy, a zarazem jest dowodem potęgi i znaczenia jakiem dawni jego mieszkańcy cieszyć się musieli. Zamek Heilly wydał kilku znakomitych ludzi. Jeden z jego panów walczył w bitwie pod Bouvines (1228), Jacek z Heilly zostaje księciem burgundzkim pod imieniem Jana bez Trwogi. Z rodziny tej wyszło także dwóch biskupów w dyecezyi Amiens: Thibaut d'Heilly i Franciszek de Pisseleu-Heilly.

W r. 1263 św. Ludwik odwiedził swych kuzynów Gauthier i Thibaut III. d'Heilly; na pamiątkę tej wizyty zamieniono pokój, który zajmował św. Ludwik na kaplicę pod jego wezwaniem. Po zburzeniu zamku (1847 r.), wiele sprzętów marmurowych, pochodzących z tej kaplicy, dostało się do kościoła parafialnego. Lecz chwile, któremi się zajmujemy, odnoszą się w znacznej części do r. 1617. Ówczesnym właścicielem zamku był Ludwik de Pisseleu, małżonką zaś jego Maria de Gondi, siostra Emanuela de Gondi, generała galer.

---

[1]) Szczegóły tu umieszczone, wiążą się z chwilami życia św. Wincentego, których, zdaniem naszem nie uwzględniono w żadnej z istniejących biografij. Dotyczą one pobytu św. Wincentego w Heilly i pamiątek po nim pozostałych. Wypadki te, zachowane częścią we wspomnieniach krążących o Heilly, częścią oparte na dziełach, o których wspomnimy, zostały zebrane przez kapłanów naszego Zgromadzenia z domu Amiens, podczas Misyi, danych tegoż roku w Heilly. Podania te i czyny zasługują na to, by o nich wspomnieć, lecz zastrzegamy się, że mogą one jeszcze uledz dyskusyi.

Na północny zachód od Heillly znajduje się wzgórze, obecnie puste lecz w czasach do których odnosi się epizod ten z życia św. Wincentego, było zarosłe drzewami. Przez pagórek ten szła ścieżka z zamku do starego opactwa św. Wawrzyńca, dziś już zniszczonego.

Św. Wincenty, podczas pobytu swego w charakterze nauczyciela u P. P. de Gondi, z szczególniejszem zamiłowaniem modlił się w kaplicy św. Wawrzyńca. Gdy szedł z wychowankami swymi z Folleville do ich ciotki Maryi de Gondi w Heilly, zawsze wstąpił po drodze do kościółka klasztornego.

Gdy razu pewnego podchodził na pagórek, by dostać się do opactwa, usłyszał w pobliskim lasku szczęk miarowy uderzających o siebie orężów. Zbliża się i widzi ze zgrozą dwóch młodych panów w zaciekłym pojedynku. Na widok grzechu rzuca się mąż Boży pomiędzy nacierających na siebie, rozbraja ich, a pokazując im krucyfiks zaklina w imię P. Jezusa, umierającego za swych zabójców, by porzucili zbrodniczą sprawę. Widok Swiętego i jego słowa tchnące gorącą miłością, robią tak silne wrażenie na walczących że rzucają broń na ziemię i podają sobie ręce na znak pojednania.

W pojedynku brali udział: Ludwik Fabroni d'Assini, szlachcic de Pistole, przyszły mąż Ludwiki de Pisseleu, córki Maryi de Gondi, i Henryk Chabot, hrabia de Jarnac, połączony później węzłem małżeńskim z księżniczką de Rohan. Powód pojedynku pokryty jest tajemnicą. Wiemy tylko, że panowie ci byli wówczas na wizycie w zamku Heilly i że pojednanie ich wywołało ogólną radość wśród rodziny i przyjaciół. Na pamiątkę tego zdarzenia i na prośby św. Wincentego wystawiła Marya de Gondi tegoż samego roku (1617) na miejscu pojedynku krzyż, który w okolicy nazwano krzyżem ks. Wincentego.

Stał on aż do rewolucyi, podczas której zdruzgotała go zgraja zbirów pod wodzą osławionego Taillefer'a.

Lecz wróćmy do przerwanego toku opowiadania. W kilka lat po wystawieniu krzyża poświęcił ks. Wincenty w Heilly cmentarz zamkowy, obecnie publiczny i dziś nie istniejącą kapliczkę pod wezwaniem św. Anny, która stała w środku cmentarza.

Pergamin, znaleziony w r. 1847 w czasie przenoszenia archiwum zamkowego, a będący długo własnością burmistrza Heilly stwierdza poświęcenie kaplicy dokonane przez św. Wincentego. Jest na nim podpis: „Wincenty, kapłan Zgromadzenia Misyi".

Z kaplicy św. Anny pozostała belka, na której dziś jeszcze dostrzedz można złotemi literami wypisane słowa: „Pani Marya de Gondi i pan de Pisseleu, jej syn, właściciel i rycerz d'Heilly, dali budulec na tę kaplicę w r. 1625", a nieco niżej drobniejszemi literami: „Ks. Wincenty, kapłan Zgromadzenia Misyi, poświęcił tę kaplicę w r. 1625". Belka ta z biegiem czasu dostała się do młyna w Ribemont-sur-l'Ancre, lecz mimo takich kolei napisy są do dziś dnia nieuszkodzone.

Krzyż ks. Wincentego leżał przeszło sto lat obalony. Jednym ze skutków misyi, (przez dwóch kapłanów naszego Zgromadzenia w Heilly w lipcu 1897 r.) było odrestaurowanie tej pamiątki.

W dniu zakończenia misyi (18 lipca) poświęcono nowy krzyż wobec dwudziestu siedmiu kapłanów, biorących udział we wzniosłej ceremonii i niezliczonego tłumu wiernych. Burmistrz i jego zastępca, Rada miejska, deputacya z fabryk towarzyszyła znakowi zbawienia, wiezionemu na wspaniałym wozie.

Nowy krzyż został wystawiony kosztem pewnej znakomitej osoby, zostającej w stosunkach szczerej przyjaźni z obu rodzinami św. Wincentego à P.

Uważamy za stosowne opisać go szczegółowo, bo jest bardzo pięknym a zarazem oryginalnym. Wznosi się na skale umiejętnie imitowanej. Na poszczególnych jej wzniesieniach umieszczone są posągi N. Maryi Panny, św. Jana, nadto św. Wincentego à P. i św. Anny.

Wewnątrz skały jest grota z posągiem N. Maryi Panny, trzymającej na swem łonie martwe ciało boskiego Syna.

Krzyż ten, wznosząc się na szczycie góry, panuje nad okolicą i z łatwością daje się spostrzedz z dalekich stron; przypominać on będzie mieszkańcom Pikardyi pobyt św. Wincentego w ich krainie i zachęcać ich wymownie do przebaczenia uraz i zapomnienia krzywd.

Pamięć o pobycie św. Wincentego w Heilly trwa żywo w całej parafii. Starcy odmawiają po dziś dzień jeszcze modlitwę o Męce Pańskiej, ułożoną przez świętego Kapłana. Jestto ta sama modlitwa, którą Siostry Miłosierdzia według swych reguł o g. 3 odmawiają.

W kilka lat przed rewolucyą, według świadectwa starców, proboszcz z Heilly w niedziele wielkiego postu i prócz tego kilkakroć w ciągu roku szedł wraz z parafianami do krzyża św. Wincentego. Odmawiano tu 5 Ojcze nasz i 5 Zdrowaś Marya, a kończono ćwiczenie to nabożne modlitwą na cześć Męki Pańskiej, o której wyżej wspomnieliśmy.

Te szczegóły, są jawnym dowodem pobytu św. Wincentego w Heilly. Na podstawie ich możemy przypuszczać, że św. Wincenty dawał Misyę w tej okolicy.

W życiorysach św. Wincentego trzeba będzie uwzględnić jego pobyt w Heilly w rozdziale, taktującym o chwilach jego, przepędzonych w Folleville.

II. Ks. Bombard proboszcz w Tunisie, odznaczający się gorliwością w wyświetlaniu szczegółów z życia św.. Wincentego à Paulo, nadesłał ks. Generałowi list następującej treści:

Przewielebny Księże Generale!

Chcąc okazać Ci wdzięczność za łaskawość Twą, z jąką wysłuchać raczyłeś mej prośby, dytyczącej tuniskiej katedry pod wezwaniem św. Wincentego à Paulo, pragnę uczcić świętego Założyciela Waszego Zgromadzenia umieszczeniem w Rocznikach kilku szczegółów, odnoszących się do pobytu Jego w Tunisie.

Brama, przy której św. Wincenty, jako niewolnik był wystawiony na sprzedarz, jest niezawodnie brama Bab-Bahar (Brama Marynarzy); tą bowiem jedynie można było wprowadzać jeńców, których korsarze przywozili z pełnego morza do Tunisu przez wąski, a dziewięć kilometrów długi kanał, który przepłynąwszy przez jezioro Boghar, kończy się w małej błotnistej zatoczce, gdzie stają galery. Miejsce, w którem zatrzymywały się statki, było połączone z bramą Marynarzy zapomocą ścieżki 1500 m. długiej.

Sw. Wincenty chodził bardzo często po tej jedynej drodze; sam opowiada, że co wieczór odprowadzano go do łodzi wraz z jeńcami, którzy jeszcze nie znaleźli kupca na siebie. Jestto ta właśnie droga, na której go sprzedawano i kazano biegać jak „podłemu zwierzęciu“, a to w tym celu, by handlarze niewolników przekonali się naocznie, że towar jest silny i mocno zbudowany, że zasługuje na wysoką cenę.

Scieżka, niegdyś wąska, zmieniła się z czasem w piękną ulicę zwaną ulicą Marynarzy. W półkolu, z którego wychodzi, naprzeciw pałacu francuskiego wznosi się front katedry św. Wincentego, ozdobiony pomnikami. Posąg Apostoła miłosierdzia, z uśmiechniętą

twarzą i słodyczą na niej rozlaną, będzie się wznosił z framugi rzeźbionej w pięknym tuniskim marmurze, by głosić pokoleniom, że chwałę Świętych Pańskich poprzedzają cierpienia i upokorzenie.

Już dawno czyniłem zabiegi, by niektóre rynki i ulice tuniskie chlubiły się nazwą św. Wincentego à Paulo i bohaterskich Jego synów ks. ks. Guérin i Le Vacher, którzy w Afryce padli ofiarą wzniosłego poświęcenia. Starania moje trwające już lat 10 byłyby bez wątpienia przyczyniły się do uszczęśliwienia środkowych i najważniejszych dzielnic miasta. Nie osądzając tych, którzy mię nie poparli, wyraziłem Magistratowi tuniskiemu me zdziwienie z powodu takiego zapomnienia.

Zażądano odemnie sprawozdania co do tej kwestyi. Napisałem je raczej sercem aniżeli piórem i wyłuszczyłem dostateczne powody, które winneby skłonić Radę tuniską do uczczenia Świętego Wincentego i mężów bożych, którzy położyli tak znaczne zasługi dla Francyi i ludzkości. Czyż zacni członkowie naszego Magistratu nie mieliby się zdecydować na takie postanowienie, które bez najmniejszego wahania uczyniły inne władze nie odznaczające się religijnością? Uchwalono zatem, by w nowym cyrkule miejskim jedna z ulic głównych otrzymała nazwę św. Wincentego, inne zaś ks. ks. Guérin i Le Vacher. Wobec tych niebieskich orędowników obiecuję, że niczego nie zaniedbam, by uchwała doszła do skutku.

Zbadanie okolicy i miejsca, gdzie św. Wincenty przez 3 lata upadał pod ciężarem pracy i gdzie serce i wolę swych panów do P. Boga nawrócił, przynosiłoby mi chlubę. Dlatego też wypytywałem się o wiele szczegółów, wiele czasu łożyłem na badania, wiele faktów porównywałem. Milczenie prawie zupełne o drogim mi Słudze Bożym uniemożliwia wprawdzie zbieranie obfitego owocu z mych trudów, ale mimo to nie zniechęcam się

do podjęcia dalszych poszukiwań w tym względzie, bo pociechą mą jest silna nadzieja, że z woli Opatrzności wybije szczęśliwa godzina, w której szczegóły z życia św. Wincentego dziś pokryte pomroką, staną się jawnymi. Zaszczyt odsłonienia tej tajemnicy jest może zachowany dla dzieci św. Wincentego. Któż bowiem miałby wątpić, że P. Bóg w niezgłębionych wyrokach wybrał ich do odnalezienia wszystkich szczegółów dotyczących św. Wincentego à Paulo, wszystkich miejsc uświęconych jego obecnością, niewolą, łzami i heroiczną cnotą?

Racz przyjąć Przewielebny Ks. Generale wyrazy mych uczuć, synowskiego przywiązania, szczerej i głębokiej wdzięczności.

Bombard, archipresbiter.

SPRAWOZDANIE

o misyach odprawionych w r. 1897 przez XX. Misyonarzy z Kleparza.

Horodenka.

Dokończenie.

Słysząc te słowa kapłana, który od kilkunastu lat w tutejszej parafii pracuje i owieczki swoje zna dobrze, trudno było brać je za przesadę, a co najbardziej nas zasmuciło, to wiadomość, że do kościoła nie chcą chodzić i najprostsze stąd przypuszczenie, że i na misyę nie przyjdą. Po części przypuszczenie nasze w ciągu dalszej pracy się sprawdziło — chociaż nie zupełnie. Nie można wprawdzie powiedzieć, żeśmy tu mieli frekwencyę jaką się zwykle na mazurskich misyach cieszymy, ale też i na zupełny brak słuchaczy i penitentów nie można się żalić. W czasie misyi tutejszej wypadły dwa ruskie święta „Iwana“ (Narodzenie ś. Jana) i „Petra“ (ur. śś. Aposto-

łów Piotra i Pawła) i w te dni kościół był przepchany ludem. Wprawdzie przyjechaliśmy przedewszystkiem do parafian obrz. łac., ale i rusinów nie można było stanowczo izolować, boć i tak z łacinnikami i w wioskach i w rodzinach żyją. Misya była rozłożona na dwie serye. Kobiet i dziewcząt zebrało się 700, mężczyzn i chłopców 600. Liczba niby nie najgorsza, chociaż zawsze nam się zdawało, że to maleńko, że w kościele pustki; ale bo też kościół horodeński, to gmach, jakiego podobnego i na Pokuciu i na Podolu nie znajdzie. Ci sami w innym kościele by się gnietli, a tu niknęli. Ślubowanie od wódki szło tu strasznie tępo; bo też podobno każdy rusin woli nic nie jeść, żeby tylko „horyłki“ wypić. Zdaje mi się, i tak w piosneczkach śpiewają, że jakby gorzałki nie pili, to śmierć! U żydów się takiej filozofii wyuczyli. Tu żyd to najlepszy przyjaciel i doradca i wszystko. Bez żyda ani furmanki nie dostanie, nic kupić ani sprzedać bez tych faktorów nie można. W niedzielę kościoły i cerkwie pustkami świecą, zato na rynku przy kramach żydowskich zawsze pełno i gwarno. Koło kościoła przechodzi tutejszy katolik, to zaledwie czasem pokołuje przed sobą ręką i coś przytem posyczy — to ma być niby znak krzyża św. — ale do żyda zawsze wstąpi, a przynajmniej stanie i przypatrzy mu się. Na mazurach prawie wioski niema, któraby nie miała „kółka rolniczego“, katolickiego sklepu, jakiejś czytelni, — tu o czemś podobnem, o jakiejś pracy odpornej przeciw wyzyskowi żydowskiemu ani mowy. Za żydami wszystko przepada. Sprzedać — najlepiej żydowi, bo jak zapłaci, to zapłaci, ale przytem gorzałką poczęstuje — to najważniejsza. Biedne Siostry nasze, które tu przy szpitaliku osiadły, co potrzebują do kuchni lub gospodarstwa kupić, z wolnej ręki od ludzi tutejszych nie dostaną, już

prędzej przez inne osoby. Taki to jakiś osobliwy ten kąt, jakby klątwą bożą obłożony, bo przy całem swojem zaślepieniu i tej ciemnocie prymitywnej odznaczają się zawziętością i uporem niesłychanym a kogo chce Pan Bóg ukarać, tego *dementat*, takie zaślepienie na niego zesyła. Człowieka, któryby chciał u nich coś zmienić, jakie ulepszenie zaprowadzić, nienawidzą jak największego wroga. Noszą się też osobliwie. Mężczyźni jeszcze jako tako: włosy na głowie nad uszami strzygą krótko lub golą; cała czupryna i reszta głowy nietykalna jak u nazarejczyków — wszystko rośnie, dopóki nie wyłysieje. Buty ogromne — jak sanie i to przeważnie familijne; jedna, najwyżej dwie pary w domu i tych kolejno używają jedni po drugich. Na sobie noszą grube, ciężkie sukmany, czyli „serdaki“ tesame w lecie i w zimie; na głowie „kapeluch“ słomiany, który każdy sam musi zmajstrować: upleść i zeszyć. Kobiety noszą się ochydnie — jakby je co dopiero z raju wygnano. Szat przyzwoitszych, jakie na całym świecie kobiety noszą, np. spodnic, tu jeszcze nie znają: zarzuci każda na siebie kawał werety, zwykle kolorowej, ani to zeszyte, ani zapięte — jak fartuch masarski, z przodu zawiąże troczkami, żeby nie spadło i to jej niższą część ubrania zastąpi. Dziewczęta prócz tego ubrania, koszuli rozma mranej i kilku sznur ków korali, innego stroju nie używają, zwłaszcza latem; kobiety, idąc na chrzciny lub do miasta, biorą na siebie serdaki, które im przytem zwykle i kołdry i poduszki zastępują.

Na głowie noszą mężatki i wogóle osoby, które do stanu panieńskiego się nie liczą, wielkie zawoje z chustek wełnianych. Kolor chustek i sposób zakręcania jest prawie w każdej wsi odmienny, a co jeden, to ciekawszy. Pod tym względem baby ze Serafiniec zakasowały

wszystkie sąsiadki swojemi osobliwościami. Nie używają chustek wełnianych, tylko cienkiego płótna, którem obwijają głowę ze wszystkich stron tak, że tylko usta, oczy i kawałek nosa wystają, reszta zaś pozawijana szczelnie, jak frachtowa paczka a co zbyło, to się skręca stożkowato i z tego powstaje jakby kołpak czy infuła babska. Im znaczniejsza gospodyni, tem większą nosi.

Ciekawe są tutejszych ludzi ubiory, ale mieszkania jeszcze osobliwsze. Drzewa tu brak zupełny; maleńkie laski dopiero nad Dniestrem a tak na całej przestrzeni od Śniatyna do Horodenki i stąd do Gwoźdźca drzewa większego nie ujrzysz; pod tym względem cała ta ziemia wygląda jak puszcza wielka, lub okolice morza Martwego. Zamożniejsi po miastach murują sobie domy z cegły lub kamieni, którego tu dosyć; ubodzy zaś wieśniacy, których na to nie stać, wbijają koły po rogach tego miejsca, gdzie ma mieszkanie stanąć, przegradzają jako-tako wolne spatium żerdziami i patykami, do wylepienia zaś ścian mięszają ziemię z obornikiem, słomą i śmieciami, to układają we formy płaskie, okrągławe, suszą na słońcu a następnie wkładają pomiędzy pręty i żerdzie — i jakoś się to trzyma. Wielka tu nędza a niechlujstwo nad wszelki wyraz.

Co do religijnego życia tutejszych katolików, chyba nie wiele da się powiedzieć na ich pochwałę. Te wszystkie orzeczenia niektórych: „*Święta Ruś — poczciwi rusini*“ etc. — nie wiem jak gdzie, ale tu z pewnością można uważać za frazesy bez treści; może miejscami przed kilku laty dały się w części zastosować, ale dziś widać tu skrajny radykalizm, nurtujący wśród ludu w sposób zastraszający, tem bardziej, że tu natrafił na głowy puste, które sobie z urojonych obietnic wichrzycieli zdać sprawy nie umieją i tem łatwiej na ich lep

idą. Wiara sama u tutejszych katolików dawno poszła w pogardę, trzymają się księży dlatego, że w urzędowych sprawach muszą się z nimi stykać i w danym razie mogliby nieprzyjemności napotkać· Natrafią na sumiennego duszpasterza, który chce obowiązków swoich akuratnie dopilnować, lub też wypadnie konkurencyjne datki składać, to uciekają bez skrupułu na inny obrządek. Obrządkami szachrują, gdzie tylko widzą jakąś dla siebie swobodę; a można śmiało i to powiedzieć, że w danym razie gotowi i wyznanie porzucić. Do kościoła chodzą więcej ze zwyczaju i tradycyi, aniżeli z poczucia obowiązku katolickiego. Że deszczyk kropi, lub śnieg trochę pruszy — to już wystarczy za powód, żeby nabożeństwo opuścić. Na inne podróże, pielgrzymki i jarmarki, gdzie kilka dni nieraz zejdzie, z dawiendawna o kilka i kilkanaście mil idą, choćby najnaglejszą sprawę w domu mieli.

Do Śniatyna np. jakie 5 mil drogi przyszli do nas parafianie z Horodenki na misyą, bo tam odpust wypadł, a kiedyśmy ich prosili i zaklinali, żeby tu na miejscu korzystali z misyi, niebardzo się garnęli. Do Suczawy na drugi koniec Bukowiny (będzie 20 mil drogi) idą licznie corok na odpust i po drodze do schizmatyckich cerkwi wstępują a tu tak niewielu przyszło. Zaraz po misyi był w Horodence taki wypadek. Był tu jeden niespokojny człowiek, bitnik zawadyaka pierwszorzędny w okolicy — rusin. Kiedy zbytkami swojemi niejednemu dokuczył, zmówiło się na niego kilku rosłych i silnych chłopów, pewnego wieczora napadli go i ubili pałkami tak, że ledwie żywego odstawiono Siostrom do miejscowego szpitala. Trzymano go tu ze dwa dni a przez cały ten czas we dnie i w nocy kompanie stały jak na warcie, dom, podwórze zapełnione ciekawymi gośćmi —

zdawało się, że płoty połamią, szpital rozniosą — tak się tłoczyli. A na misyi pustki. Miłość bliźniego trwa u tutejszych tak długo, dopóki przy szklance, lub kieliszku siedzą. Potem się włóczą po sądach, nienawidzą — gotów jeden drugiego w łyżce wody utopić, spalić lub zabić. Była tu jedna gniewnica, znana w całej parafii. Jakieś bezpodstawne bajki, czy inne błahe powody zapaliły w jej sercu gniew, nienawiść zaciekłą przeciw innej kobiecie i to długie lata się ciągło. Perswazye proboszcza, upominania i zaklinania osób wpływowych na nic się zdały; jedna ze Sióstr Miłosierdzia do nóg jej się rzuciła, żeby darowała swej przeciwniczce — i to nie pomogło. Szła i do komunii po kilka razy na tydzień, pozorne uczynki miłosierdzia spełniała — a jednak z tem wszystkiem gniewu i nienawiści porzucić nie chciała. W czasie misyi wreszcie się pogodziły! Jeżeli w tem sercu dawne kwasy się nie odezwały, to dla tej samej jednej duszy wartało misyę w Horodence odprawić.

Gwałcenie świąt tu na porządku dziennym. Lud się wykręca obrządkami, jak mu dogodniej: przyjdą łacińskie święta, to powie, że on Rusin; przyjdą znowu ruskie, to się na Polaka przerzuci; a dwory okoliczne (zwłaszcza jeden) pędzą bez wstydu i hańby ludzi do roboty w największe święta — i to katolicy!! O gorętszej jakiejś pobożności, nabożeństwach i bractwach ani tu wspominać. Pieśni najprostszych: godzinek, różańca uczciwie nie zaśpiewają. Szkaplerzy, różańców boją się jak czarów jakich, żeby się tem nie strefnić. Namawiać, nawoływać, żeby się do czegoś wpisali, w kościele darmo nie stali — na wszystko mają krótką odpowiedź: „*Ja ne hoden — ja ne hodna!*“ i spokój... Od kilkunastu lat pracuje tu gorliwie Przew. ks. dziekan i proboszcz obecny Nowobilski; Siostry nasze pracują jak tylko mogą. Pierwsza Komunia ś. od kilku lat odbywa się uro-

czyście, Siostry uczą starannie, żeby przynajmniej młode pokolenie więcej P. Jezusa kochało, jak te stare bezbożniki — zmiany prawie żadnej nie widać. Corocznie rozdaje ks. kanonik kilkadziesiąt książeczek do modlitwy, to matki niemi mleko nakrywają, a do kościoła z tem nie dadzą dziecku iść, żeby to z pańska nie wyglądało. Przez cały Maj odprawia się regularnie nabożeństwo do Najśw. Panny Maryi codzień; przez Czerwiec do Najsł. Serca P. Jezusa, w Marcu do ś. Józefa — to „Gorzkie żale", to do Najśw. Rodziny — to inne nabożeństwa — a chodzić nie chcą.

Przy rozdawaniu Komunii odprawiały się msze śś. w obrządku łacińskim i greckim a w niedzielę ostatnią 1 lipca i ormiański proboszcz tutejszy ks. kan. Kosiński po swojemu razem z nami Pana Boga chwalił. Po zakończeniu seryi męskiej, 12 lipca odprawiło się solenne nabożeństwo za zmarłych z parafii, tudzież za konfratrów naszych, którzy tu kiedyś pracowali. Wkopaliśmy i poświęcili pamiątkowy krzyż a popołudniu, mając chwilę wolną, odwiedziliśmy nasze Siostry, które regularnie z ludźmi na misyę chodziły; poczem oglądaliśmy zwłoki konfratrów naszych, złożone w podziemiach tutejszego kościoła i starannie utrzymane.

Śniatyn.

Następnego dnia, 13 lipca we wtorek, tą samą drogą, którąśmy przed kilku dniami przebyli, przeprawiliśmy się do Śniatyna, na drugą misyę. Praca rozpoczęła się zwyczajnym porządkiem na nieszporach. Kościół znacznie mniejszy, jak w Horodence, to go łatwiej było ludem napełnić. Nazajutrz (14 lipca) odprawił tu prymicye nowo-wyświęcony kapłan, ks. Antoni Czwaczka, i udzielił ludowi i nam błogosławieństwa. Kobiet i dziew-

cząt na misyę przyszło 1000. W czasie tej seryi wypadł tu dawny odpust Szkaplerza Najśw. Panny Maryi, na który naszło miejscowych parafian, niedobitków w horodeńskiej parafii, tudzież z Bukowiny kilkanaście tysięcy. Troche nam to pracę mięszało, ale i ci, którzy dorywkowo wpadli, mogli z misyi skorzystać. Robiło się z nimi (po pierwszych nieszporach i w sam odpust zrana) rachunki sumienia, nauki głosiliśmy takie, że wszyscy mogli skorzystać. Z tych napływowych wyspowiadało się około 2000. Przyczem wielu zapisało się do Trzeźwości, Szkaplerza ś. i innych bractw. Reszta zaś, tj. ci, którzy przyszli z ciekawości, to tylko przeszkadzali bieganiem ustawicznem z miejsca na miejsce, rozmawianiem itp. Do tych należały i serafinieckie baby, któreby i w Ameryce po osobliwszym stroju można poznać. Spowiadałem na cmentarzu, a tych cała kompania rozsiadła się niedaleko i dalejże po swojemu gwarzyć. Nie można było i spowiadać. Właśnie się zaczęło niemieckie kazanie. Żeby ich się pozbyć, powiedziałem im, że jest niemieckie kazanie. „*Oho — nemekie kazanie* — mówi jedna do drugiej — *to ja szcze ne czuła, jak żyju; a ja takij ne czuła*“... Poszły jedna za drugą ku ambonie, miejsce się opróżniło i był bez nich spokój. Suma z pierwszego rachunku: misyjnych 1000, odpustowych 2000 — razem 3000 uczestniczących. Druga połowa nie tak świetnie dopisała: mężczyzn i młodzieży było 600. Bo też i czas najfatalniejszy padł — same żniwa, a biedny lud na to ziarnko patrzy jak na cały swój skarb; z tego się ma wyżywić z rodziną i podatki opłacić i kapitały składać. Zresztą zawsze mężczyzni twardsi do pobożności jak *devotus femineus sexus*. Tuśmy spotkali wielu Mazurów od Łańcuta i Jarosławia — niestety, ruszczeją kompletnie... chociaż gdzieindziej to taki dobry czynnik, żeby zruszczałą parafię rozruszać. Niektórzy pracują po dwo-

rach jako wyrobnicy, a zamożniejsi handlują nierogacizną i na tem dosyć dobre interesy robią. Ale to włóczenie się po jarmarkach, prawie ustawiczny pobyt poza domem, stykanie się z rozmaitymi ludźmi, nie zawsze korzystnie na nich oddziaływa. Często się wyrabia skłonność do kieliszka, w pożyciu domowem jedno drugiemu nie dowierza, zgody niema; a przy tylu interesach krzywd, wyzyskiwań nie brak. Wogóle jednak Śniatyn nas więcej pocieszył, jak Horodenka. Tu też już dawno nad ludem pracowano. Był tu 9 lat z okładem jako wikaryusz obecny ks. dziekan i proboszcz z Horodenki, bardzo zacny i gorliwy kapłan. Kilka lat cieszyła się ta parafia świątobliwym kapłanem ś. p. Tomaszem Stańkowskim. Zresztą parafia w miejscu liczniejsza, siły łacińskie więcej skupione — to można łatwiej coś dobrego zrobić. O dalszych wioskach tego nie można powiedzieć. Praca tu szła lekko i przyjemnie; nawału wielkiego nie było; w wolnych chwilach można się było przejść po ogrodzie plebańskim a stąd prześliczny widok na Prut, Czeremosz i ostatnie stoki Karpat i Bukowinę. Zakończyliśmy misyę 22 lipca przed południem.

Czernelica.

W piątek dnia 23 lipca pożegnaliśmy piękny Śniatyn i wybraliśmy się ku Horodence — sami nie wiedząc, dokąd zajedziemy. W planie naszem pierwotnym naznaczone było Michalcze, bo tak z porządku po drodze wypadało. Ale skorośmy się dowiedzieli, że tam proboszcz od dłuższego czasu ciężko chory, a lud strasznie zaniedbany i można było przewidzieć, że tam nie będzie co robić przez 6 czy 8 dni, jak było w planie naznaczone, wypadło porządek nieco zmienić, tj. wziąć naprzód Czernelice a potem Michalcze, bo gdyby wypadło tę ostatnią

misyę skrócić, to nie będzie takiego zamięszania i bałamuctwa... Tak się też ostatecznie zrobiło. Ale tu poczty daleko — to i korespondencya nie zgrabnie szła. Zajechaliśmy do Horodenki znowu; tu popas u ks kanonika Kosińskiego, który nas wspaniale przyjął. Tymczasem — chwałaż Ci Boże! — nadeszły fury z Czernelicy i cała niepewność nasza się wyjaśniła. Ale też tu się zaczęły nasze *mysteria*. Zaraz po obiedzie ruszyliśmy do onej Czernelicy i około godz. 5 stanęli na miejscu. Misya ma się za chwilkę rozpocząć, a w kościele żywej duszy niema. Na probostwie niema nikogo. Poskładaliśmy rzeczy w sieni, powyjmowali brewiarze i dalej pacierze mówić. Po chwili nadjechał z folwarku ks. proboszcz, odprawił pogrzebek, jeszcześmy poczekali trochę i już o zmroku rozpoczęto misyę. Ludzi garstka się zeszła. Misya trwała tu od 23 do 31 lipca. Na pierwszą seryę, tj. kobiet i dziewcząt, przeważnie łac. obrz. przyszło 300; na drugą 200. Jedyną pociechą naszą na tej misyi byli koloniści tutejsi a dawni nasi parafianie z Jezierzan, którzy się tu osiedlili niedawno. Ci chodzili wiernie i pilnie słuchali nauk a nadziwić się nie mogli, że tu lud taki obojętny.

Pod krzyżem misyjnym pogodziła się jedna para małżeńska, która dotąd w dzikim rozwodzie żyła. Rusini przychodzili z poblizkich wiosek, ale po większej części z ciekawości i jakby na zwiady. Kiedy się np. karciło ich zwyczaje, że przy obchodzeniu świąt i postów szachrują raz do łacińskich, to znowu do ruskich się przyznając: jeżeli łaciński post wcześniej się zacznie, to niejeden powiada, że on „*ruskij pist obserwuje*“ — a przyjdzie polska Wielkanoc, to znowu Polakiem się robi i święconkę zajada — a tak ani jednego, ani drugiego nie utrzymują, — za to nas oskarżali, że ich „ustanowy“ wyśmiewamy — i zaczepiamy obrządek...

Michalcze.

Dnia 31 lipca popołudniu przeprawiliśmy się z Czernelicy już nad sam Dniestr do tej parafii. Proboszczowi właśnie przed kilkoma dniami odjęto nogę — leży jak Łazarz od kilku miesięcy. W kościele, prócz starego organisty, który jakiś czas był u nas w Jeziezanach, żywej duszy niema. Cerkiew zaraz vis a vis kościoła łacińskiego. Zaczęto bić w dzwony jak na gwałt i po łacinie i po grecku, a ludzi jak niema, tak niema. Już późno wieczór przyszło kilkanaście osób. Wystawienia SSmi nawet nie było można zrobić. Odśpiewało się *Veni Creator*, odmówiło litanię do Najśw. Panny, powiedział nauczkę wstępną ks. Dudek i narazie spokój. Na drugi dzień — niedziela. Znowu od samego rana kazaliśmy za dzwony szarpać — na wszystkie posługi sam organista. Zmachał się też poczciwy staruszek, jak przy pożarze. Naszło trochę ludzi; ale i ci zanim do kościoła wejdą, muszą swoje po drodze odstać i poradzić, bo tak ich tutejsze „ustanowy" każą. Chodzimy, zganiamy jak policyanci i wreszcie zaczęli do kościoła kapać. Ksiądz ruski z sąsiedniej wioski umyślnie w tę niedzielę z nabożeństwem do tutejszej cerkwi nie przyjechał, żeby i jego parafianie mogli z misyi skorzystać. Skorzystali w sam raz! bo zamiast przyjść do kościoła, podokazywali trochę w cerkwi, postali na drodze przy kramach a pod wieczór poszli do karczmy, przepełnionej do rana. W kościółku prawiliśmy nauki i exhorty prawie bez przerwy, bo można było przewidzieć, że w powszednim dniu ani setna część nie przyjdzie. Ale oni co trochę, to uciekali na pole, inni przyszli, zajrzeli na chwilkę do kościoła — i dalej na pole radzić... Tak zeszła niedziela. W poniedziałek spowiadaliśmy 300; we wtorek postawiliśmy im krzyż pamiątkowy,

który miał tu swoją historyę. Zwykle o takich rzeczach parafianie myślą; tu sprawił drzewo proboszcz z własnej kieszeni. Cieśla wezwany do roboty oświadczył z góry, że się nie tknie, chyba, że „*hałury*“ (tj. gałęzie) jego będą. Tak biedaka, który wczasie długiej ciężkiej choroby wszystkie swoje oszczędności wyczerpał, do ostatka wyzyskiwali. A przytem, jak kiedyś żydzi P. Jezusowi na krzyżu wiszącemu, tak bezbożni parafianie proboszczowi swojemu dogryzali; kręcili się pod okna, to ludzi z plebanii idących pytali: „*A bude szczo z naszoho proborszcza — ne bude?*“ jakby wyglądając tej chwili, kiedy raz oczy zawrze. Jest tu w obrębie parafii stara osada Mazurów, ale ci jeszcze gorsi od reszty parafian, chociaż gdzieindziej z chlubą się o nich wspomina. Skończyliśmy tu tak zwaną misyę, która wziąwszy wszystko razem, 3 dni trwała; przyjechaliśmy d. 31 lipca pod wieczór, a popołudniu d. 3 sierpnia powróciliśmy znowu do Hodorenki. Tu u ks. dziekana zastaliśmy ks. kan. Dręgiewicza, który z Gwoździca po odpuście M. B. Anielskiej aż tu przybył, żeby następnie nam do Michalcza z pomocą pospieszyć. Zdziwili się wszyscy, że w Michalczu tak gładko poszło. Żebyśmy zaś z Pokucia z lepszą fantazyą wracali, zaczęli nas częstować Obertynem, w którym jeszcze misyi czekano dotąd. Ponieważeśmy atoli nie mieli upoważnienia od Władzy, a przytem na tę pracę OO. Jezuici ofiarowali swoje wprawniejsze i świeższe od naszych siły, więc nam nie wypadło nic, jak tylko za tę serdeczność i zaufanie proboszcza podziękować i o przeprawie do swoich pomyśleć. Przenocowaliśmy w Horodence a na drugi dzień w środę popołudniu ruszyli do Gwoździca. Tutejsi OO. Bernardyni, którzy nam chętnie i wytrwale, gdzie było potrzeba, w pracy pomagali, przyjęli nas serdecznie i gościnnie a następnego dnia, we czwartek, wyprawili na kolej do Zabłotowa. Wstąpiliśmy

po drodze do ks. proboszcza Nowickiego; poczem, wsiadłszy na pociąg, przybyliśmy szczęśliwie do Lwowa, a stąd już w sobotę d. 7 sierpnia wieczorem, stanęliśmy u swoich w Krakowie. Tak się skończyła wyprawa nasza pokucka.

Misye jesienne w dyecezyi krakowskiej.

Na jesień w tym roku Najprzew. Książę-Biskup Puzyna, zawsze dla nas szczodry, wyznaczył nam sześć misyj w swojej dyecezyi. Żeby pracy w późną jesień nie przeciągać, bo to i dla nas i dla ludu nie dogodnie, rozdzieliliśmy się z początku na dwie serye; mniejsze parafie 4 obrobiliśmy trójkami a dwie większe czwórkami. Tak pierwsza trójka (kks. Kamiński, Krzyszkowski i Domoradzki) dała misyę: od 12 do 20 września w Libiążu, zaś od 20 do 28 września w Kościelcu śląskim przy Chrzanowie. W Libiążu lud ruchliwy, bardzo pięknie prowadzony, schodził się licznie i pilnie słuchał nauk misyjnych. Małe tylko nieporozumienie zaszło co do pomocy w słuchaniu spowiedzi i prawie połowa bez spowiedzi została. W Kościelcu lud tępawy, znać na nim bliskie sąsiedztwo chrzanowskich żydów. Schodzili się jednak i tu pilnie i korzystali z misyi, a zacny proboszcz, ks. Józef Skoczyński, nagromadził spowiedników ilość dostateczną, tak, że kto tylko chciał, mógł się z Bogiem pojednać. Świeżych ślubowało około 1500, czego skutki zbawienne najlepiej się okazały w najbliższy dzień wypłaty. Jeden z tutejszych arendarzy żydów, w takie dni zebrał najmniej 60 złr. naraz za jeden wieczór — a po misyi zaledwie 4 złr. utargował.

Płaza.

Drugie kółko nasze, do którego należeli tym razem: kks. Konieczny, Dudek i ja, dało dwie misye w tymże

czasie: od 12 do 20 września w Płazie, a potem od 20 do 28 września w Regulicach.

W Płazie napotkaliśmy dusze piękne, poczciwe, posłuszne, ale obok nich i prawdziwe „płazy“, serca zimne, lodowate, w brudach grzechowych zakochane. Wszyscy chodzili wiernie i pilnie na nauki, chociaż nie do wszystkich serc one trafiły. Przy rozpoczęciu misyi powiedział gorące słowo do nas i do parafian obecny proboszcz tutejszy ks. Franciszek Szewczyk, u któregośmy już poprzednio przed dwoma laty w Gilowicach (przy Żywcu) pracowali. Przytoczywszy na wstępie tekst z Jeremiasza proroka „*Spustoszeniem, spustoszona jest wszystka ziemia, bo niemasz, ktoby rozważał sercem*“; przechodził straszne rozmaite wypadki, które pustoszą ziemię: ogień, wojna, zaraza, gradobicie — a ponad te wszystkie klęski większe spustoszenie w duszach ludzkich sprawia grzech, zwłaszcza ciężki, śmiertelny. Na to spustoszenie, grzechami spowodowane, najlepsze nam P. Bóg lekarstwo posyła, tj. misyę św. Następnie nawoływał gorąco wszystkich, żeby z łask bożych korzystali, a nam pasterskiego błogosławieństwa udzielił. Serca — jak wspomniałem — w gruncie bardzo poczciwe a przytem miękkie. Poprzednik obecnego proboszcza, człowiek bardzo zacny i poczciwy, ale przytem długą chorobą złamany, nie mógł wszystkiego akuratnie dopilnować i może stąd pojawiło się nieco kąkolu, który się tem lepiej przyjął i rozrósł, że mu w początku nie przeszkadzano. Za przybyciem nowego pasterza, cała parafia ożyła i wiele dobrego zapowiada. Do wiecznego i żywego Różańca prawie wszyscy się zapisali. Do Trzeźwości garnęli się również chętnie, chociaż nie wszyscy. Niektórzy podobno aż na Alwernię uciekli po komunię św., żeby ich tu do ślubowania nie chwycono. Dwóch czy trzech notorycznych pijaków zostało; ale i z tymi da sobie proboszcz, zacny i gorliwy kapłan, radę. Posiew

nowoczesnych wichrzycieli przyjął się tu w kilku sercach; ślady jego widzieliśmy podczas misyi w niedowierzaniu księżom i rozmaitych opowiastkach, jakie między parafianami tutejszymi krążyły. Od misyi Floryańskiej (jeszcze z Postu) zostało nam dużo kartek kolorowych i te po misyach rozdajemy dla lepszego rachunku uczestniczących i komunij. Dla kobiet rozdawaliśmy tu kartki czerwonego koloru. Gdy je chłopi zobaczyli, mówili niektórzy między sobą: „Ej, kumie, nie bierzcie, nie radzę wam, to musi być jakaś *„podrywka“*... Ale skoro się przekonali, naco te kartki były dawane, brali i prosili o nie. Biedny lud, taki zbałamucony! Było tu zagorzałych postępowców kilku; z tych trochę wytrzeźwiało a inni (3) zostali przy swoich zasadach. W drugiej połowie misyi ogół parafii nam serce otworzył zupełnie. Nietylko nie stawiali oporu, ale sami dopomagali, wyszukiwali zbłąkanych, przyprowadzali, żeby im co radzić. Mieli tu jednego osobliwszego pijaka. Cały czas misyi chodził pijany to pod kościół, to na plebanię — i awantury wyprawiał. Jeden z tutejszych parafian, dawny wójt, wziął go w opiekę. Wymawiał się ten biedak, że musi tak pić, bo ma „uczynione“ od żydów. „Chodźcie, chodźcie, powiedział mu ten poczciwiec, ja wam odczynię“ — i gdzieś go u siebie w ciemnej komorze zamknął. Co się tam z nim działo, niewiadomo; ale prosił on pijak na wszystko, już i 50 ct. na piwo ofiarował, żeby go tylko stamtąd wypuścić... To tylko wyjątkowy okaz; reszta parafii bardzo pięknie się do P. Boga bierze. Kobiet i dziewcząt było 600. W spowiadaniu tej seryi, jakoteż odpustowych, którzy tu na Podwyższenie ś. Krzyża się zbiegli, pomagali nieco sąsiedzi; resztę, tudzież mężczyzn, których było 450, samiśmy spowiadali. Misya skończyła się tu d. 20 września zrana.

Regulice.

Wieczorem tego samego dnia, zaczęliśmy pracę w Regulicach, słynnych swojemi źródłami, z których wodę onego czasu miano do Krakowa sprowadzać; a jeszcze bardziej wsławionych jako punkt centralny nowoczesnych krzykaczy ludowych na całą okolicę. To się na wszystkich odbiło. Już to nie taki miękki, potulny i posłuszny lud jak w Płazie lub późniejszych Babicach. Niby posłucha, wszystko zrobi, ale też umie się i stawić — a języki niewiedzieć jaką kalafonią pociągane. Kościół nowy, obszerny, to można było swobodniej się mieścić. Ksiądz prob. Ignacy Sablik, przyjął nas najserdeczniej i cały czas misyi pomagał to w konfesyonale, to poza kościołem, wyszukując najbardziej schorzałych owieczek i prosząc o ratunek dla nich. Jednym z największych występków parafii, były tu waśnie, niezgody, procesy i to zawzięte. Zwykle zaczynały się od poswarek babskich, a kończyły na bójkach krwawych, do czego znowu egzekucyę przyjmowali na siebie chłopi zawsze chętnie. Dość wspomieć, że przed uroczystą komunią ś., przy obydwóch seryach, było jakie 40 do 50 stron powaśnionych do pogodzenia. Nacieraliśmy na nich do ostatka i wreszcie sobie ręce podali. Posiewy nowoczesnych postępowości tu już znać dobrze; upomnieć prostego chłopa nie ma ksiądz prawa w kościele, bo gotów natychmiast albo odpalić z impertynencyą, niegodną św. miejsca, albo i po sądach włóczyć św. suknię. Mają tu kilka typografij, gdzie te nowoczesne poglądy kują: jedna w zwierzchności gminnej a druga w młynie pod Alwernią i inne pomniejsze. Wójt wplątał się przez swoją fanatyczną gorliwość, z księżmi okolicznymi w procesy, które ma c. k. Prokuratorya rozstrzygnąć i da Bóg, że, aby na tej drodze śmiałka z pustą głową rozumu nauczą; a za nim i drugi

krzykacz umilknie. Wielu ludziom w głowach ci przywódcy poprzewracali. Było kobiet i dziewcząt 800; chłopów i chłopaków przeszło 700. W słuchaniu spowiedzi dopomagali tu: OO. Bernardyni, zwłaszcza O. Walery Jędrzejowski, tudzież O. Tobiasz Ucherek i sąsiedzi z Poręby Żegoty i Rybny. W ostatnim dniu przybył z Krakowa O. Stefan, Dominikanin, i zaprowadził tu, w myśl rozporządzenia Najprz. Książęco-Biskupiego Konsystorza, Różaniec wieczny. Pomagał nam nieco w spowiadaniu, a my jemu w paradach i procesyach różańcowych. Wszystko się zakończyło d. 28 września zrana. Poczem razem ruszyliśmy na Krzeszowice do Krakowa.

Babice.

Tuśmy się znowu, dawni towarzysze, zeszli: kks. Kamiński, Krzyszkowski i ja, a w miejsce ks. Koniecznego, który nieco niedomagał, wzięliśmy naszego socyusza ks. Domoradzkiego. Tak we czwórkę ruszyliśmy na misyę, może najpiękniejszą ze wszystkich, jakieśmy w tym roku dali. Sam proboszcz, ks. kanonik i konsyliarz Papuziński, jeszcze tamtego roku nas prosił, żebyśmy też do niego przybyli z misyą, kiedy przyjdzie kolejka na nowogórski dekanat. Tu pod każdym względem niczego nam nie brakło. Może to i P. Jezus chciał nas tak pocieszyć za wszystkie cierpkie chwile, jakieśmy w tym roku gdzieindziej przeszli. Stanęliśmy na miejscu w sobotę zrana, d. 9 października. W obszernej wspaniałej plebanii było się gdzie rozgościć a przezacny ks. konsyliarz krzątał się jak Marta, żeby nam też czego nie brakło. Doprawdy, ażeśmy nieraz zawstydzeni byli tym zbytkiem serca i jego gościnnością. Następnego dnia celebrował sumę z asystą sam ks. kanonik Papuziński. Po *Veni Creator* przemówił serdecznie, że już 48 lat dobiega,

jak za biskupem, który mu święceń udzielał, powtarzał te słowa: *Dominus pars haereditatis meae et calicis mei;* to było dla niego zawsze wskazówką działania w pracy pasterskiej. Do tego ludu przyszedłszy, to jedno tylko miał i ma pragnienie, żeby mógł serca owieczek swoich sobie zjednać a wszystkich P. Bogu pozyskać. W ciągu długich lat pasterzowania jego w tej parafii, pomimo jego starań i pracy, mógł się niejeden kąkol pojawić i ukryć dotąd. To też cieszy się, że P. Bóg tę misyę posłał, żeby tutejszą parafię odnowić, z przymieszek złego oczyścić. Wspomniał o Abrahamie, który trzech mężów miał szczęście przyjąć jako gości u siebie; nas zaś w kościele i parafii nie jako gości, ale jako gospodarzy wita i w ręce nasze wszystko oddaje. Przydał jeszcze, że choć i tu znajdziemy rozmaite chwasty, jak wszędzie między ludźmi, ale też znajdziemy serca poczciwe, posłuszne, lud nawskróś pobożny i do Kościoła przywiązany. Poczem wyciągnął nad nami, czcigodny ten starzec, swoje drżące ręce i udzielił błogosławieństwa...

Praca sama szła tu prześlicznie. Lud przychodził kompaniami zrana i taksamo odchodził wieczorem do domu. A były to gromady nielada. Kobiet 1800, dziewcząt 850, chłopców 750, chłopów 1450. Młodzieży dużo na służbach i w robocie. Żydzi znieść tych procesyj nie mogli, zwłaszcza kiedy widzieli na czem każdy stan kończy: ślubują od gorzałki i od karczem, każdy dostaje kartkę, którą sam podpisuje, albo znaczy. To dla nich plaga. Wypadły w czasie misyi jakieś ich święta (podobno kuczki) zebrali się wszyscy miejscowi, przywołali sobie sąsiadów i dalejże podobne żydowskie procesye urządzać po wsi i wyśpiewywać. Właśnie szkolarzy wypuszczono do domu. Jak też chwycili kamieni i kasztanów, zaczęli bić — porozganiali całe te zgraje. Cały czas misyi po karczmach zupełne pustki, a w miejsco-

wym sklepie „kółka rolniczego“ nastarczyć nie mogli towarów. To było dla żydów ością w gardle. Pewnego wieczora, kiedyśmy się spać pokładli, nagle odzywa się głos dzwonu na gwałt; cała plebania, kościół i przytykająca część Babic oświetlone; wpada do nas jeden z księży z wiadomością, że się pali niedaleko! Służący obuwie pozabierał, więceśmy na miejsce od razu pobiegnąć nie mogli. Najgorliwszy ks. Domoradzki pobiegł i sikawką zręcznie kierował; wkrótce też zlokalizowano i ugaszono pożar. Spaliły się dwie stodoły i stajnia tuż przy katolickim sklepie. Posądzać, grzech, to prawda; ale przypuszczać wolno — i całe podejrzenie padło na żydów, że ich to była sprawka. Odnośne władze dochodzenia wcale płytko i pobieżnie przeprowadziły, żeby się nazywało, że coś, paragrafami przepisanego, zrobiono. Bądźcobądź, fakt ten podkopał tu dobrobyt żydowski radykalnie. Poszkodowani gospodarze przy subwencyi z Towarzystwa ubezpieczeń już się pobudowali; ludzie poczciwsi ich wsparli drobnymi datkami słomy, siana, zboża itp.; a żydzi chyba długo za to będą pokutować. Ślubowanych było już przeszło 1000 a po misyi zapisanych do bractwa ś. Trzeźwości liczba doszła do 5000 — to już chyba niema się czego żydowstwo czepić. Do spowiedzi prócz jednego Cystersa z Mogiły, O. Stanowskiego, który tu stale w czasie misyi bawił, na każdą seryę przybywało po kilku lub kilkunastu księży, tośmy i nie wiedzieli, kiedy się taką falangę wyspowiadało. A w wolnych chwilach między seryami można było zwiedzić Lipowiec, sławną miejscowość, gdzie sól zwietrzałą duchowieństwa przed laty chowano, a stąd okolicy się przypatrzyć.

Po misyi uradowany wikaryusz, dzielny protektor tutejszego ludu, tak pisze:

„W sobotę 6 listopada zakładam „kółko“ w Żar-

kach, a w niedzielę 7 t. m. w Zagórzu. Posłano tu z głównego zarządu ze Lwowa bardzo zacnego lustratora, który jeździ po gminach, uczy gospodarstwa, psiaczy na żydów, przeklina gorzałkę, wykazując jej szkodliwość na zdrowie i kieszeń. Żydzi chodzą z kurami spać, mają zupełne *otium*, zepsuty geszeft do cna. Jeden z Żarek już uciekł; gmina kupuje karczmę z 5 morgami pola — pieniądze już złożyli... Aż miło teraz w parafii a my (w kółku) nie możemy nastarczyć towarów wozić. Ta procesya, odprowadzająca kks. Dodrodziejów przy odjeździe 26 października, aż do nocy pod krzyżem misyjnym płakała a ks. kanonika, dziękując za misyę, tak całowali, że go przewrócili. Potem na drugi dzień 80, na trzeci 64 ludzi wyszło mu gratis do kopania ziemniaków i wszystko z pola uprzątnęli". Dotąd list ks. wikarego Józefa Żaby. Takie ordery po misyi zbierać — to pociecha.

Bobrek.

W uzupełnieniu pracy w tym dekanacie wypadło jeszcze w Bobrku pracować. Byli tu w r. 1885 OO. Jezuici z misyą generalną. Myśmy tam byli z jedną poprawką we czterech r. 1892; trzy lata potem r. 1895 we dwóch. Teraz znowu poprawka, a jakoś zmiany w Bobrakach niema. Są niektórzy bardzo poczciwi jak zakonnicy; ale są też przytem i bardzo niedobrzy. Pracowało tu obecnie czterech Misyonarzy od 7 do 15 listopada. Przy konkluzyi zaprowadził O. Dominikanin kanonicznie Różaniec ś.

Kończąc obecne sprawozdanie, proszę pokornie czcigodnego ks. Wizytatora, by był łaskaw polecić te skromne prace modlitwom obydwóch rodzin ś. Naszego Ojca, żeby dobroć Boska wspierała co było w nich dobrego, a nam

udzielała swej łaski i sił, żebyśmy innym pracom, ku chwale bożej podjętym, podołać mogli.

Pisałem d. 27 listopada 1897 r.

Oddany i pokorny sługa
Ks. Józef Sokołowicz
n. k. Z. M.



Kościółek w Choderkowcach.

Kościółek w Choderkowcach.

Kto nie był na Rusi, lub nie miał sposobności poznać bliżej tamtejszych stosunków religijnych, ten gotów wszelkie opowiadanie wschodniej części Galicyi dotyczące wziąć albo za jakąś przesadę, albo też za wiadomości z misyj zagranicznych. Ziemie te od dawnych czasów zamieszkują przeważnie dwie narodowości, dwóch odrębych obrządków, t. j. Rusini i Polacy, greckiego i łacińskiego obrządku. Zdawaćby się mogło, że te dwa plemiona szczepowo zbliżone do siebie jak dwaj bracia jednej rodziny, zamieszkujące tę samą ziemię, wyznające tę samą katolicką religię, mające język i tradycye bardzo podobne — nie mogą mieć między sobą zatargów i kolizyj, a tem bardziej wrogo przeciw sobie stawać. Jednakże do tego doszło. Unia i braterstwo nasze z Rusinami są to wyrazy, które dziś pięknie brzmią, kiedy się o tem rozprawia, ale w praktyce nie tak pięknie wyglądają. Przyczyną tego smutnego rozdziału, który dziś coraz jaskrawiej występuje, nie wyszła ze strony ludu, ale — niestety najczęściej od kleru ruskiego. Lud obydwa obrządki zarówno szanuje, mieszkając na jednej z łacinnikami ziemi, święci razem z nimi łacińskie większe święta, jak znowu łacinniki ruskie; małżeństwa bardzo często są mięszanego obrządku — tu jeszcze jakaś łączność obydwóch narodowości daje się spostrzedz. Ale przywódzcy ludu ruskiego, i politycy, zupełnie inne mają przekonania i dążności. Ich oczy obrócone ku Rosyi, a dążności zwrócone w tym kierunku, żeby ludowi wszelką wiarę odebrać, albo przynajmniej schizmie zawczasu teren przygotować. O pouczaniu ludu, sumiennem wypełnianiu obowiązków kapłańskich tu się często zapomina. Liczebnie Rusini tu mają stanowczą większość.

W obszarze łacińskiej lwowskiej archidyecezyi są dwa biskupstwa ruskie, a po rozległych na kilka mil w promieniu parafiach zachodzi taki stosunek, że jeden proboszcz łaciński ma czasem do 20 i więcej sąsiadów księży ruskich w obrębie swojej parafii — sąsiadów, którzy często wszelkimi sposobami i sztukami wabią lud do swoich cerkwi, żeby go i obrządkowi ruskiemu przywłaszczyć. Po cerkwiach kazań nie ma, przynajmniej bardzo rzadko; ale często lud słyszy wyśmiewanie obrządku łacińskiego, komentarze najprzewrotniejsze tego, co łaciński duszpasterz zarządził; widać ustawiczną dążność, żeby łacińskie święta i posty poznosić, a ruskie dla wszystkich zaprowadzić; rozwija się coraz skrzętniejsza agitacya, żeby dusze łacińskie po swojemu chrzcić „myrować", grzebać, pary małżeńskie błogosławić — najnieprawniej i wbrew wszelkim przepisom zawartym w t. zw. „Konkordyi". Tym sposobem w samej archidyecezyi lwowskiej rokrocznie najmniej 2000 dusz gdzieś się podziewało. Nie umarli, nie emigrowali — ale przystawali na ruskie.

Kiedy cała ta gospodarka szła coraz dalej, zesłał Bóg właśnie wtenczas łacińskiemu obrządkowi obrońcę w osobie Najprzew. X. Biskupa Kniazia z Kozielska Puzyny. Potrafił on w zwątpiałe wobec takiego nawału duchowieństwo wpoić odwagę, do odporu zachęcić i obmyśleć sposoby, żeby nieprzyjaciele z taką hardością nie chełpili się: *Praevaluimus adversum eos*!

Droga do wyjścia z kłopotliwego położenia przedstawiała się jedna jedyna, t. j. budowanie kościołów i kaplic po rozległych parafiach, żeby lud po kilka mil od parafiii zamieszkały tam gromadzić, od czasu do czasu odwiedzać, pouczać, a od cerki odciągać. Od tego trzeba było na razie koniecznie zacząć. Ale skąd wziąść fundusz? Dwory dawnej szlachty po większej części podupadły, dobra albo rozparcelowane, albo też w żydowskich

rękach, starodawna wiara, pobożność i ofiarność, których ślady w dawnych fundacyach napotykamy, również ustały. Najwięcej można było liczyć na ofiarność samego Duchowieństwa, tudzież centowe składki wiernych. I to się znakomicie udało. Zaczęto sporadycznie budować kościoły i kaplice; niedługo potem wyrobił się stały system i — jeżeli się tak można wyrazić — mania budowania domów bożych, stworzono fundusze na udzielanie subwencyj parafiom biednym, któreby o własnych siłach nie potrafiły Domu bożego wystawić. Tym sposobem rokrocznie teraz we lwowskiej archidyecezyi po kilka kościołów i kaplic przybywa, a całe dzieło ma podwójne znaczenie i wartość: raz jako Dom boży, a powtóre jako twierdze — asylum ochraniające lud łaciński od ustawicznych zaczepek ze strony nieprzyjaciół, a z czasem pozbawienia go obrządku i — wiary. Dobrze też to tu zrozumiano. Chociaż dziś pierwszy twórca tego dzieła przeniósł się na stolicę św. Stanisława do Krakowa, dzieło samo rozwija się i postępuje najpomyślniej. J. Exc. Najprzewielebniejszy X. Arcybiskup, metropolita Morawski, tudzież jego pomocnik Najczcigodniejszy X. Biskup Weber popierają je całem sercem. Kler parafialny łaciński jak żołnierze jednego obozu wzajemnie się wspiera, by wspólnemi siłami jak najwięcej pobudować kaplic. Są parafie (jak np. Borszczów), w których prawie każda z wiosek przynależnych ma swój kościółek, jakby twierdzę. A choćby i kaplice jedna przy drugiej stały — to ich za wiele nie będzie, bo kościoły parafialne, zwykle maleńkie, nie wiele ludzi pomieścić mogą.

Powyższe uwagi wyjaśnią niejedno z tego, co czytelnicy nasi w sprawozdaniach z misyj odbytych we wschodniej Galicyi znaleźli, a w szczególności wytłómaczą naszą radość, z jaką zamieszczamy obecnie wiadomość

o nowym kościołku w Choderkowcach na Rusi, gdzie obydwie rodziny św. Wincentego były i są interesowane.

Mniej więcej przed ośmiu laty osiadły w Choderkowcach za Lwowem Siostry Miłosierdzia i urządziły sobie w domku kapliczkę maleńką, w której najwięcej 10 osób mogło się pomieścić. Prawie równocześnie, bo w r. 1890 tuż przy Choderkowcach w Sokołówce, wybudowano dom dla XX. Misyonarzy. Siły nasze były podówczas słabe, a potrzeby innych domów liczne i wielkie, więc nie można było jeszcze w tym domu stale zamieszkać. Od czasu do czasu przybywali tu Misyonarze chwilami w przejeździe lub dla wypoczynku i wtenczas mszę św. odprawiali w kapliczce Siostr Miłosierdzia. Gdy od r. 1894 stale tu osiedli i nabożeństwa zaczęły się regularnie odprawiać, a w niedziele i święta do Mszy św. przydano nauczkę, zbiegało się ludzi coraz więcej. Prócz służby dworskiej szli ze sąsiedztwa Polacy i Rusini tak, że nietylko kapliczka, ale i przyległe ubikacye i dwa kurytarze były przepchane ludem, a czasem i na polu stali. „Było w sercu i radośnie — pisze X. Sup. Kiedrowski — że lud tak rano na nabożeństwo się zbiera, i żałośnie, że ich nie ma gdzie pomieścić“.

Ale są ludzie opatrznościowi, którym Pan Bóg dziwnie błogosławi i szczęści i umyślnie posyła ich tam, gdzie największa bieda, jakby chcąc tem wyraźniej ślady swojej dobroci zaznaczyć, kiedy z maleńkich początków wielkie dzieła stworzy. Niktby nie przypuszczał, że kapliczka choderkowiecka kiedykolwiek w kościółek urośnie, a z tych skromnych prywatnych nabożeństw będzie wiele chwały Bożej. I tak się stało. Trzy lata zaledwie upłynęły, jak w Sokołówce XX. Misyonarze osiedli, a już i kościół stanął i lud z daleka do niego ciągnie. Czcigodny X. Superyor Kiedrowski, bawiąc jeszcze w Jezierzanach jako superyor tamtejszego domu i proboszcz pa-

rafii, w nader trudnych okolicznościach dwa tam kościółki ufundował; z tych jeden w Zalesiu skończył kompletnie, drugi w Dawidkowcach na ukończeniu zostawił swojemu następcy X. Tyczce, gdy z powodu nadwątlonego zdrowia wypadło mu owieczki swoje opuścić. Tu po raz trzeci miał zostać i został fundatorem nowego Domu bożego. Dziwnie mu też i tu Opatrzność boża błogosławiła. „Dość było — tak on sam pisze — dość było otworzyć się przed sercami, jak córki św. Wincentego. Jak gdybyś las smolny i suchy zapalił, tak słowo jak iskra rozbiegło się po ich sercach. Choderkowieckie sługi chorych i wieśniaków, za nimi Lwów, Kraków, Bursztyn, Poznań, Chełmno, Lubawa, Września, Kościan, Przeworsk, Jasło jak mrówki pracowicie zbierały centy, fenigi, marki, korony. Dnia 3-go marca w wigilię św. Kazimierza królewicza r. 1896 złożono we Lwowie pierwsze 5 centów do puszki, a już 24 sierpnia w dzień św. Ludwika tegoż roku miejsce pod kościół oznaczono i wzięto się do kopania fundamentów".

Prace około fundamentów rozpoczęto dnia 24 sierpnia 1896 r., a już dnia 11 września t. r. odbyło się uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego. Aktu tego dokonał Najprzewielebniejszy X. biskup Weber, który powracając z wizyty kanonicznej dwóch dekanatów Stanisławowskiego i Buczackiego, raczył do tej ubogiej wioski wstąpić i całe dzieło pobłogosławić. Po Najdostojniejszego Gościa wyjechał na kolej do Bóbrki X. Superyor Kiedrowski, a uradowani włościanie wysłali banderyę złożoną z kilkunastu zgrabnych chłopaczków z Choderkowiec i Sokołówki. Najprzewielebniejszy X. Biskup zajechał wprost do Sokołówki, gdzie przy bramie przyjął go X. proboszcz Bożentowicz, na czele swoich licznie zebranych parafian. Było też kilka Sióstr Miłosierdzia z małemi dziećmi, które ładnie ustrojone, rzucały

kwiatki pod nogi Najdostojniejszego Gościa. Cały pochód udał się do kościoła parafialnego, gdzie Najprzew. X. Biskup udzielił błogosławieństwa Najśw. Sakramentem; następnie zaś odprawił Mszę św. w kapliczce domowej XX. Misyonarzy. Ludzie tymczasem zebrali się przy bramie tryumfalnej w Choderkowcach. Przybył tu po Mszy św. Najprzew. X. Biskup i w asystencyi miejscowego duchowieństwa dokonał aktu poświęcenia kamienia węgielnego. Następnie w gorących słowach przemówił do nader licznie zebranego ludu (chociaż to na powszedni dzień trafiło), zachęcając zgromadzonych do wdzięczności P. Bogu, którego dobrotliwa Opatrzność pozwala, że w tak trudnych stosunkach, wśród biednych wieśniaków nowa świątynia staje.

W lipcu r. 1897 kościół ten już był ukończony zupełnie i postanowiono go poświęcić. Wszystkich, a zwłaszcza czcigodnego fundatora i kierownika tego dzieła pragnieniem było, by tego aktu dokonał Najczcigodniejszy X. Piotr Soubieille, wizytator XX. Misyonarzy i dyrektor Sióstr Miłosierdzia — głowa obydwu rodzin św. Wincentego w Galicyi. Ale gdy ciężka choroba nie dozwoliła tej pociechy, dokonał tego oktu X. Sup. Kiedrowski, co nastąpiło w uroczystość św. Michała dnia 29 września,

Od samego rana zbiegło się narodu tyle, że już o godz. 5 nie można się było przepchać obok kościoła. Obrzędy poświęcenia, w których prócz miejscowych XX. Misyonarzy tudzież parafialnych księży obydwu obrządków, wziął udział także przybyły ze Lwowa X. Lewandowski, rozpoczęto o godz. 8. Z zakrystyi ruszyła procesya przez 2 kurytarze i około kościoła. Zatrzymano się przed drzwiami, gdzie się odbyło uroczyste poświęcenie soli i wody. Po dopełnieniu reszty przepisanych ceremonij, wyszła wotywa celebrowana przez X. Iliasiewicza miejscowego proboszcza greckiego obrządku,

a potem X. proboszcz Bożentowicz odprawił uroczystą sumę, w czasie której kazanie wygłosił Czcig. X. Kiedrowski. W wspaniałej tej swojej mowie część poświęcił patronowi Galicyi św. Michałowi, a część także uroczystemu obchodowi poświęcenia kościoła, na który się zeszli. Ludzi się zbiegło bardzo wiele, doroczny odpust w Bryńcach Zagórnych na ten dzień przypadający musiał przepaść; śpiewali, grali, bębnili — moździerzy tylko brakło, a byłby nowy „prażnyk" na poczekaniu. Prawie wszyscy chcieli się spowiadać; ale chociaż 5 księży siedziało do godziny 2-giej popołudniu, zaledwie 100 osób się wyspowiadało.

Na popołudniu zapowiedziano uroczyste, kanoniczne poświęcenie i zaprowadzenie stacyi Drogi krzyżowej w nowo-poświeconym kościele. Czcigodny X. Kiedrowski znowu przy tej sposobności powiedział kazanie, w którem objaśnił znaczenie Drogi krzyżowej i nabożeństwa stacyjnego, sposób odprawiania, żeby odpusty temu nabożeństwu nadane zyskiwać i gorąco zachęcał, żeby z tych skarbów korzystali. Poczem 7 mężczyzn i 7 kobiet wzięło po 1 stacyi, obeszli z nimi kościół procesyonalnie dokoła śpiewając: Rozmyślajmy dziś; rozwieszono następnie stacye jedna po drugiej i zaraz je odprawiono — jak przepisy kościelne każą. Dzień ten zakończyło błogosławieństwo Najśw. Sakramentem i odśpiewanie hymnu *Te Deum*.

Kościółek ma 14 metrów długości, 7 szerokości; presbyteryum 4 metry długie, a 3 szerokie. Zdawało się, że go ludzie tutejsi nigdy nie wypełnią, zwłaszcza, że parafialne kościoły, polski i ruski niedaleko; tymczasem dziś widać, że choćby jeszcze dwa razy taki był, toby nie było za wiele. Co niedzielę ludzi od rana pełno, że się pomieścić nie mogą i muszą znowu stać za drzwiami, a przychodzą i z daleka o kilka mil jak na cudowne

miejsce. W niedzielę bywa msza św. regularnie o godz. 7, potem nauka, a biedni ludziska już o godz. 7 stoją pod furtą nie zważając czy deszcz, czy zawierucha. W Adwencie to i w powszednie dni mieli Misyonarze co dzień po kilka godzin pracy ze spowiedziami. Dnia 21 grudnia była tu w okolicy Sokołówki wielka śnieżyca; mimo to już od rana zebrało się ludu do spowiedzi dosyć dużo. A ponieważ śnieg zawiewał do kościoła, przywarto drzwi wchodowe. Już koło południa, gdy spowiedzi skończono, wychodzi Siostra zajrzeć, czy już nikogo nie ma. Uchyla drzwi, a tu ogromna zaspa śniegu i coś zaczyna się ruszać. Była to kobiecina, która jeszcze rano przyszła się pomodlić, a widząc drzwi zawarte, myślała, że kościół zamknięty; pochyliła się ku ziemi, jak tu mają zwyczaj i tak została kilka godzin, aż ją śnieg zasypał.

Dawniej mężczyzn trudno było uprosić do kościoła; teraz i w powszednie dni chodzą. O godzinie $5^1/_2$ już są na mszy św., klęczą pobożnie i odmawiają Różaniec — chociaż to przeważnie Rusini. A zapytać ich, czemu to taka zmiana nastąpiła? — to powiadają: „Ta jakże tu nie chodzić, kiedy Ojciec święty (tak nazywają X. Kiedrowskiego) takie fajne nauki mówi — my tu teraz, jak w niebie“.

Całe to dzieło, fundacya nowego kościółka — to jeden dowód więcej, jak warto Opatrzności boskiej ufać, zwłaszcza, kiedy się koło biedaków pracuje. W szkatule centa nie było, a zebrano tyle, że się można kościółkiem chlubić.

Dzięki niech będą nieskończone P. Bogu za Jego dobroć w tem dziele okazaną, wszystkim P. T. Dobroczyńcom, którzy się do budowy tego nowego Domu bożego choćby 1 centem lub fenigiem przyczynili, niech sam P. Jezus stokrotnie zapłaci; samego zaś Czcigodnego Fundatora i dusze, które się najwięcej około budowy tej

świątyni krzątały, niech z tej nowej siedziby swojej błogosławi i w szczególniejszej ma opiece, a kiedyś przyjmie do przybytków chwały wiekuistej!...

Niemcy.

List ks. Franciszka Neumanna, kapłana Zgromadzenia Misyi, do ks. Kreutzera Wizytatora.

Kolonia, 2 listopada 1897.

Przewielebny Księże Wizytatorze!

Łaska Pana Naszego niech będzie zawsze z nami!

Sprawię Ci niewątpliwie przyjemność, jeżeli Ci nadeślę kilka szczegółów z misyi, jaką X. Nickes i ja daliśmy między piątą niedzielą postu a Wielkanocą katolikom narodowości niemieckiej w Londynie.

250.000 do 300.000 katolików znajdujących się w tem ogromnem mieście rozdzieleni są na 149 parafij. Kościół św. Bonifacego, w którym odbyła się misya, nie jest właściwie kościołem parafialnym. Kapłani jednak znajdujący się przy nim mają prawa proboszczów w zarządzie kościelnym względem wszystkich katolików mówiących po niemiecku, którzy są rozrzuceni w obszernem tem mieście. Nasi współziomkowie zbierają się zwłaszcza w niedziele i święta z najodleglejszych nawet części do kościoła św. Bonifacego, gdzie odbywają się kazania i katechizmy w języku ojczystym.

Misyę dano razem dla wszystkich stanów, tak jak się to dzieje w Niemczech; tasama pobożność, tensam zapał, tesame skutki pocieszające co się tyczy przyjmowania Sakramentów św.

Kazania były tylko dwa razy dziennie, gdyż wierni wskutek wielkiej odległości nie byliby mogli trzy razy dziennie przyjść do kościoła. W trzy tylko niedziele w czasie misyi było także kazanie popołudniu; wtedy większa część wiernych nie wracała przez cały dzień do domu, lecz zostawali w pobliżu kościoła, aby nie stracić żadnej nauki, obiad zaś jedli w hotelach lub restauracyach.

W pierwszym dniu zaraz ucieszyliśmy się, widząc wielką ilość wiernych zbierających się na nasze nauki. Często na nabożeństwie wieczornem kościół był za szczupły, żeby pomieścić wszystkich naszych słuchaczy; wiele kobiet i mężczyzn musiało zatem stać przed kościołem. Wzruszający był to widok patrzeć na tę wielką ilość wiernych, mężczyzn nawet i młodzieńców, przychodzących codziennie wczas rano do kościoła, aby usłyszeć Słowo Boże, zwłaszcza, że nieraz musieli przejść od 12 do 15 mil angielskich.

Stosownie do życzenia tamtejszych kapłanów, zaczęliśmy spowiadać dopiero w szóstym dniu, a nie w trzecim lub czwartym, jak się to dzieje w Niemczech. Odtąd praca trwała już nieprzerwanie. Często siedzieliśmy w kościele do północy; mimo wielkiego umęczenia, czuliśmy pociechę podejmując tak wielką pracę, a to tem bardziej, że nietylko niewiasty i panny, lecz także mężczyźni i młodzieńcy garnęli się tłumnie do spowiedzi; tych ostatnich nawet było daleko więcej. Często przychodzili mężczyźni z odległości 20 do 30 mil angielskich, aby się wyspowiadać.

Nie bylibyśmy podołali tej pracy, gdyby nas nie byli wsparli dwaj kapłani, którzy są przy tym kościele: X. proboszcz Dr. Verres i Jego Królewska Mość Książe Saski Maksymilian, który spełnia urząd wikaryusza. Byli obarczeni nawałem pracy z powodu choroby i nieobecno-

ści X. Sander, drugiego wikarego, który z nadmiaru pracy zachorował. Nie wahali się nawet poświęcić wszystkich chwil wolnych, aby nas wesprzeć w spowiedzi i często spowiadali aż późno w noc.

Wynagrodzenie uroczyste P. Jezusowi w Najśw. Sakramencie, polecenie wiernych opiece Boga-Rodzicy, wogóle wszystkie uroczystości misyi odbyły się w taki sam sposób jak u nas. W jednym tylko punkcie różniła się misya w Londynie od misyi w Niemczech, a mianowicie: po kazaniu na zakończenie, a przed udzieleniem błogosławieństwa papieskiego, podczas gdy lud odnawiał obietnice uczynione na Chrzcie św., wszyscy obecni, zarówno mężczyźni jak niewiasty, trzymali w rękach zapalone świece. Patrząc z ambony zdawało się, że się widzi pod sobą ocean świateł; było to niewątpliwie nieco niebezpieczne, wyznaję jednak, że rzadko się tak wzruszyłem, jak patrząc na to. W poniedziałek wielkanocny panuje w Londynie niewypowiedziany zapał. Mężczyźni i niewiasty, dzieci i starcy, bogaci i ubodzy, wszyscy chcą się zabawić. Jeżeli już w zwykłym czasie niebezpieczeństwo dla obyczajów w tem mieście jest groźnem tak dalece, iż bez przerażenia o tem pomyśleć nie można, o ileż zatem straszniejszem staje się to niebezpieczeństwo w każdy poniedziałek wielkanocny. Toteż kółko katolickie, które posiada w pobliżu kościoła św. Bonifacego obszerny lokal, urządza corocznie w tym dniu wspaniałą „Uroczystość familijną“, aby odwrócić Niemców od miejsc podejrzanych i niebezpiecznych balów. Uroczystość i w tym roku się odbyła. Panowie i panie poschodzili się na miejsce zabawy, aby jeść, pić, spiewać i tańczyć. To wszystko jednak odbyło się tak przystojnie, iż nie wywołało żadnej skargi lub oburzenia.

Kółko katolickie w Londynie urządza podobną zabawę, ilekroć tylko w mieście odbywają się zabawy nie-

bezpieczne dla obyczajów. Wogóle kółko katolickie w Londynie ma daleko obszerniejsze pole działania, jak nasze kółka katolickie w Niemczech. Nie poprzestaje tylko na zajmowaniu się rzemieślnikami, lecz jego lokal jest miejscem zebrania dla wszystkich katolików mówiących po niemiecku. Codziennie wieczorem to ci, to owi schodzą się, aby się tam rozmówić, załatwić swe interesa, czytać dobre książki lub dzienniki, pijąc przytem wino, piwo lub kawę. Tam zbierają się dla pogadanki lub zabawy oficerowie wojskowi lub marynarki, kupcy, prawnicy, lekarze, przemysłowcy, malarze i t. d. Wielu mężów zawdzięcza właśnie tym zebraniom w kółku to, że znaleźli w tem mieście pełnem sekt przeróżnych, żonę uczciwą i katoliczkę.

Zostaję w miłości Pana Naszego i Jego Niepokalanej Matki, X. Wizytatora posłusznym synem

Franciszek Neumann,
n. k. zgr. m.

Austrya.

List X. Ferdynanda Medits kapłana Zgromadzenia Misyi do X. A. Fiat Przełożonego generalnego.

Wiedeń, 10. paźdz. 1897.

Najczcigodniejszy Ojcze!

Proszę o błogosławieństwo!

W dniu uroczystości Najśw. Panny Maryi, położono i pobłogosławiono kamień węgielny pod kościół, który z polecenia Jego Ces. Król. Mości Arcyksięcia Józefa buduje się dla naszego maluczkiego Zgromadzenia

w Węgrzech ku czci Najśw. Panny od Cudownego Medalu.

Kaplica sama była tak ozdobiona zielenią i kwiatami, iż zdawało się, że to jest prawdziwy ogród kwiatów. Oficerowie Arcyksięcia a nadto wielki tłum wiernych wziął udział w tej uroczystości.

Oto dokument złożony w kamieniu węgielnym, a skreślony przez biskupa dycezyalnego, ks. Filipa Steiner:

„In nomine Sanctissimae et Individuae Trinitatis. Amen.

„Anno Domini millesimo octingentesimo nonagesimo septimo, hodierna die, quae est festum Nativitatis Beatae Mariae Virginis; Summo Pontifice Leone XIII; Imperatore Austriae et Rege Hungariae Apostolico Francisco Iosepho I; Dioeceseos Albaregalensis episcopo Philippo Steiner; Congregationis Presbyterorum Saecularium Missionum Sancti Vincentii a Paulo, Superiore Generali Antonio Fiat, eiusdem Congregationis provinciae Hungariae Visitatore Guilelmo Mungersdorf;

„Benedictus est atque impositus hic lapis primarius Ecclesiae honoribus Beatae Immaculatae Mariae Virginis a Sacro Numismate Nuncupatae, pia Serenissimi Domini Austriae et Hungariae Archiducis Josephi, eiusque Serenissimae Coniugis Clotildis Archiducissae munificentia aedificatae.

„Sacro benedictionis et impositionis Ritu, praesente Ecclesiae Cathedralis Albaregalensis Canonico Honorario, Vice Archidiacono et parocho in Pilis Csaba Carolo Melly et magna adstante fidelium multitudine, functus est Ferdinandus Medits, Sacerdos Congregationis Missionis Sancti Vincentii a Paulo.

„Ecclesia aedificata est arte Josephi Eggerhofer, architecti Strigoniensis“.

Tłumaczenie:

„W imię Przenajświętszej i Nierozdzielnej Trójcy. Amen.

Roku Pańskiego tysiąc, ośm set' dziewięćdziesiątego siódmego w dniu Narodzenia Najśw. Maryi Panny, kiedy Kościołem rządził Papież Leon XII; za panowania Cesarza Austryi i Króla Apostolskiego Węgier Franciszka Józefa I; za biskupstwa w dyecezyi Albaregia ks. Filipa Steiner; kiedy Przełożonym generalnym Zgromadzenia księży świeckich św. Wincentego a Paulo, był Antoni Fiat — a Wizytatorem Prowincyi Węgierskiej tegoż Zgromadzenia ks. Wilhelm Mungensdorf;

Pobłogosławiono i położono kamień węgielny pod kościół poświęcony Najświętszej i Niepokalanej Dziewicy od Cudownego Medalu, a zbudowany hojnością pobożnego Arcyksięcia Austryi i Węgier, Józefa i jego najdostojniejszej małżonki Arcyksiężniczki Klotyldy.

Ceremonii poświęcenia i położenia kamienia węgielnego dopełnił ks. Ferdynand Medits kapłan Zgromadzenia Misyi św. Wincentego a Paulo, w obecności kanonika honorowego Kościoła katedralnego dyecezyi Albaregii wice-archidyakona i proboszcza z Pilis Csaba, Karola Melly, i wobec mnóstwa wiernych.

Kościół zbudowano pod kierownictwem Józefa Eggerhofer, architekta Ostrzyhomskiego.

Architekt spodziewa się, że ukończy kościół i zmiany potrzebne w tutejszym zamku w przeciągu pięciu lub sześciu tygodni, a więc pod koniec października będzie wszystko gotowe. Arcyksiąże życzy sobie, żeby instalacya małego naszego Zgromadzenia w Pilis Csaba odbyła się w uroczystość Najśw. Panny od Cudownego Medalu, Arcyksiążę bowiem ma szczególniejszą cześć i nabożeństwo do Matki Boskiej.

Pobłogosław, Najczcigodniejszy Ojcze ten budynek oraz swego najpokorniejszego i najposłuszniejszego syna

Ferdynand Mędits,
n. k. Zgr. m.

KRONIKA.

Kraków. *Rekolekcye ludowe.* W dalszym ciągu odbywały się u nas na Kleparzu rekolekcye ludowe od 13 do 17 grudnia. Tym razem przybyła serya panien i to w pokaźnej liczbie: bo z samego Górnego Ślązka było 600 z górą, prócz tego kilkadziesiąt z Królestwa a z Galicyi i tutejszych nieco. Wypadła ta serya w oktawie najśliczniejszej z Uroczystości, jakie w ciągu roku Kościół ku czci Najśw. Panny Maryi święci, tj. Niepokalanego Poczęcia. Ładnie też to wyglądało, jak ołtarz cudownej Naszej Najśw. Panny *z Lourdes* te kilka set panien obstąpiło a przez 4 dni od rana do wieczora prawie bez przerwy to słuchały nauk i czytań pobożnych, to znowu spiewami godzinek, litanii i innych pieśni religijnych wielbiły tę „*Pannę nad Pannami*" a swoją Patronkę. W czasie kazań, rachunków sumienia i exhort niejednokrotnie kościółek nasz napełniał się płaczem i jękami tak, że i kaznodziei nie można było słyszeć. Że zaś Słowo Boże na dobry grunt trafiło, to znak najlepszy, że prawie wszystkie żądały generalnych czyli dożywotnich spowiedzi. Przy pomocy też Przezacnych OO- Franciszkanów, Dominikanów, Augustyanów, dalej naszych Konfratrów ze Stradomia i Nowej Wsi Narodowej tudzież niestrudzonego naszego pomocnika X. Leona Gąsiorowskiego i JMĆ X. Frelka, sekretarza Jego Książęco-Biskupiej Mości zdołaliśmy w dwóch dniach pragnieniom rekolektantek uczynić zadość.

Koroną całej tej pracy była konkluzya. Znowu przybył Najprzew. Książę-Biskup Puzyna ze mszą św., znacznej części rekolektantek rozdał wraz ze swoim sekretarzem komunię św., wybierzmował kilkadziesiąt, poczem przemówił do nich w gorących słowach, przytoczywszy na początku słowa św. Pawła: „*Teraz godzina jest, abyśmy ze snu powstali, bo teraz zbawienie nasze jest bliższe, niż kiedyśmy uwierzyli. Noc przeminęła, a dzień się przybliżył. Odrzućmyż tedy uczynki ciemności a obleczmy się w zbroję światłości*“. (Rom. XIII).

Przyszło Kraków opuszczać — wszystko w płacz. I czegóż tu żałować? Drogę daleką się przebyło, na noclegu same niewygody, w kościółku ścisk, zaduchy, w naukach nie kadzidło, ale przerażające słowa prawdy — tak to pokuta może serce człowieka pozyskać. Wszystkie ze ś. Piotrem zdały się mówić: „*Dobrze nam tu być*“! (Math. XVII.), wiele chciało tu zostać na zawsze, chodziły po klasztorach, szukały dopraszając się przyjęcia. A gdy tego wszystkie nie mogły dostąpić, zostały jeszcze na parę dni w Krakowie, to się po kościołach modląc, to znowu odwiedzając pamiątki drogie sercu każdego katolika i polaka a tych w naszem mieście nie brak.

Bractwa u nas istniejące i inne, do których mamy władzę przyjmowania, znowu znacznie postąpiły. Również jak poprzednie osoby przyjęte do Arcybractwa Konania i Oblicza P. Jezusa podjęły się zelatorstwa pomiędzy swoimi. Z praktyk pobożnych polecaliśmy im gorąco nabożeństwo do Najśw. Panny a w szczególności Jej *Cudowny Medal*. Na obydwóch seryach Rekolekcyj, jakieśmy w tym roku dali, rozchwycono i to tysiącami te medale do jednego, a poczciwy tutejszy fabrykant „Emanuel od ś. Józefa“ (ul. Sienna 12.) miał kłopot nie mały z dostarczaniem. Bardzo też skrzętnie rozchwytywano obrazy

Najśw. Panny niedawno koronowanej w Paryżu i dziś już u niejednego Górno-Ślązaka obraz taki się znajduje.

Po Nowym Roku w terminie od 17 do 21 stycznia odprawiii u nas Rekolekcye mężczyźni, w liczbie 800; z tych przeszło 600 było z Górnego Ślązka, reszta z Królestwa i z Galicyi. I liczba pokaźna jak rzadko, i czas piękny, bo ten, kiedy na ustach ludu naszego i po kościołach brzmią piękne kolędy, i pora dogodna, bo cały czas ładna pogoda sprzyjała — wszystko tym razem złożyło się na to, żeby obecna serya wypadła ze wszystkich jak najwspanialej. Tak zresztą i wypadało na stan najpoważniejszy tj. mężów, którzy są ojcami rodzin, kierownikami czeladzi, chlebodawcami, gospodarzami i inne ważne zajmują stanowiska.

Z noclegiem kłopot był wielki. Nasze ubikacye, w których zwykle podróżnych przyjmujemy, choć dosyć obszerne nie mogły takiej liczby pomieścić — około 200 musiało w prywatnych domach szukać schronienia— a część pewną pomieścił w swoim dobroczynnym zakładzie nasz Konfrater X Kazimierz Siemaszko. Ze spowiedziami już nie było tyle kłopotu, bo chociaż penitentów było kilkaset i prawie wszyscy żądali spowiedzi dożywotniej czyli jak ją nazywają *„mineralnej“* to jednak przy pomocy życzliwych księży z klasztorów krakowskich wszystko się na czas wyspowiadało. Nie było prawie klasztoru, któryby tym razem kogoś z pomocą nieposłał. Niech im P. Jezus zapłaci poświęcenie i trudy, jakie dla biednego ludu podejmują!.

Podobnie jak dwie poprzednie serye i obecną raczył zaszczycić odwiedzinami swemi Najprzewieleb. Książę-Biskup Kniaź z Kozielska Puzyna. Odprawił u nas na zakończenie Rekolekcyi mszę św., w czasie której sam rozdawał większej połowie rekolektantów komunię św.,

a równocześnie polecił rozdawać od siebie na pamiątkę obrazki Najśw. Panny Maryi Częstochowskiej, poczem bierzmował a na końcu znowu przemówił w gorących słowach. Życzył najprzód „Pokoju“ — który przy Narodzeniu Zbawiciela, aniołowie pastuszkom Betleemskim zwiastowali, a którym dziś każdy po dobrze odprawionych rekolekcyach w sercu się cieszy, i z którym, jako najdroższem skarbem mają niezadługo wszyscy kościółek ten opuścić a wrócić do swoich domów. Ale: przestrzegał Najdostojniejszy Arcypasterz, przed tymi czynnikami, które dziś najwięcej pokój ten upragniony między katolikami gwałcą i niszczą a wywołują zamieszania, niezgody, waśnie, nieporozumienia i w rodzinach i gminach, a zwłaszcza przed pijaństwem.

Na rekolekcyach już poprzedniego dnia tj. we czwartek do Bractwa ś. Trzeźwości przystąpili wszyscy: jedni dawne swoje obietnice ponawiając, inni na nowo się wpisując. Oby tylko łaska Boża wyryła najgłębiej w ich sercach te gorące słowa Najprzewielebniejszego Arcypasterza i przypominała im je zawsze — zwłaszcza, kiedy pokusy do kieliszka nacierać będą. — Biedne żony niektóre, na wotywy tu posyłały inne z dziećmi w domu nowenny za swoich mężów odprawiały do Matki Boskiej Piekarskiej i Częstochowskiej a pisały błagalne listy, żeby się tylko nawrócili.

Z tej drobnej pracy naszej może i wiele będzie chwały Bożej a dusz pożytku, bo mężczyźni poważnie sprawy biorą. Tuśmy się budowali ich poważnym nastrojem, uwagą i pobożnością jak niemniej żywą wiarą i serdeczną skruchą, z któremi konfesyonały oblegali. Z domu piszą jedni, że tak prędko te rekolekcye przeminęły, inni za wszystkie trudy i nauki dziękują a inni żałują, że nie mogli być.

Czwarta i ostatnia na razie serya rekolekcyi od-

prawiła się u nas w czasie od 7 do 11 lutego. Kobiety dla których ta serya była przeznaczona poprzednio czy z jakiejś trwogi czy też z powodu zajęć na rekolekcyach w jesieni odbytych liczebnie nie bardzo dopisały; za to teraz stanęło ich okrągłe 1000. Na konkluzyę d. 11. lutego znowu przybył Najprzewielebniejszy Książę-Biskup Puzyna, odprawił Mszę św. rozdawał komunię św., bierzmował, a na końcu zwyczajem swoim ciepłe słowo dorzucił. Zaczynając od słów z Ewangelii ś. Łukasza wyjętych: *Przyszedłem ogień miotać na ziemię — a tego tylko chcę, aby się zapalił* wysnuł w dalszym ciągu swej przepięknej mowy dla rekolektantek naukę, jak odbyte co dopiero ćwiczenia duchowne, wszystkie nauki na nich słyszane, Sakramenta św. jakie tu przyjmowały mają dla nich być iskrami rozżarzającemi i podtrzymującemi miłość Bożą w ich sercach. Żegnając te poczciwe i pobożne dusze udzielił im pasterskiego błogosławieństwa na drogę.

Prace około słuchania spowiedzi przy pomocy zacnych sąsiadów naszych kapłanów z klasztorów krakowskich skończyły się jeszcze we czwartek a ceremonie konkluzyjne potrwały w piątek do godz. 9, kiedy właśnie pociąg do Prus odjeżdza i wszystkie mogły nim do domów swoich się dostać. Ale, że to równocześnie wypadała w naszym kościele w Nowej Wsi Narodowej doroczna tytularna uroczystość Zjawienia się Najśw. Panny w Lourdes, prawie wszystkie przyłączyły się do kompanii, która zaraz po skończeniu rekolekcyjnych nabożeństw z kościoła naszego na Nową Wieś ruszyła chcąc się pokłonić naszej Cudownej Niepokalanej Dziewicy w świątyni, gdzie nie jednę cegiełkę Ślązacy ofiarnością swoją złożyli.

Snieżyca była wielka aż się ściemniło jak w nocy — a poczciwe te dusze śpieszyły odważnie na miejsce od-

pustu śpiewając drogą, pieśń szeroko już w kraju naszym znaną: *Po górach, dolinach... Ave Maria!*

Sumę w tym dniu odprawił X. kan. Michalik proboszcz z Zielonek; kazanie ślicznie powiedział z rana X. Chromecki, rektor XX. Pijarów, a popołudniu X. Henryk Anger, który aż ze Lwowa z przysługą Najśw. Pannie przybył.

Poczciwe Ślązaczki wymęczone 3 dniowemi trudami na rekolekcyach prawie cały dzień w tym nowym przybytku Maryi Niepokalanej przepędziły to słuchając pobożnie odprawionych nabożeństw — to odprawiając stacye, to śpiewając różaniec.

Francya. *Paryż.* Bardzo na czasie ukazała się książka pod tytułem: *Czcigodna Ludwika de Marillac, panna le Gras, fundatorka Zgromadzenia SS. Miłosierdzia.*

Autorem jest X. Prałat Baunard, rektor fekultetu teologicznego w Lille, znany publicysta francuski odznaczający się i głębokością poglądów i pięknym stylem.

Dzieło to znacznie przyczynia się do lepszego poznania życia Czcigodnej Fundatorki, oparte jest bowiem na źródłach nie zupełnie znanych dawnym w tym kierunku autorom, jak: X. Gobillon, X. Collet i pani de Richemont. Za wstęp, służą listy wymienione między autorem i Najprzew. Matką generalną. Jest również list pochwalny dla autora od Najprzew. X. Generała.

Dax. 1845 r. 21 listopada założyło tu Zgromadzenie Dom zniszczony przez rewolucyę. Baronowa de Lupé ofiarowała rodzinie św. Wincentego swój dom w Pouy obok Dax. X. Ètienne poświęcił dom i kaplicę i oddał ją pod opiekę N. Panny zwanej z *Pouy.*

X. Truquet został pierwszym superyorem a za towarzyszy miał X. Dequersin i dwóch braci. Następcy: XX. Dequersin, Fabre, Dumay kierowali Domem i zwykłymi jego dziełami.

W r. 1880 Dom się powiększył, bo tu otworzono seminaryum internum a w dwa lata studya. Dawna kaplica nie wystarczała, zaczęto więc budowę nowej. Dzień 17 listopada 1897 r. był przeznaczony na położenie kamienia węgielnego. Ceremonii dokonał Najprzew. X. Generał w obecności członków tamtejszego Domu, profesorów i uczniów z Berceau de Saint Vincent de Paul i Sióstr zaproszonych przez X. Generała.

Najprzew. X. Generał przemówił, przypominając, że poprzednik jego X. Étienne i X. Aladel wybudowali tę kaplicę z wdzięczności ku Najśw. Pannie za Objawienie Św. Medala a ta nowa, tak samo ma Rodzinom św. Wincentego przypominać to dobrodziejstwo. Do kamienia zamurowano: cudowny medal, dalej medaliki św. Wincentego i św. Benedykta i różne dokumenta, między innymi Breve Leona XIII. o koronacyi; akt tej ceremonii podpisany został przez obecnych. Zakończono tę uroczystość odśpiewaniem Litanii do WW. Swiętych w dawnej kaplicy, Te Deum i Błogosławieństwem N. Sakramentu. Ojciec św. na ten dzień udzielił Domowi tamtejszemu Swego Apostolskiego Błogosławieństwa.

Notre-Dame de Prime-Combe. W dyecezyi Nimes w drodze z Sommières ku Vigan widać w ślicznem położeniu kościół i zabudowania. Jestto właśnie Prime-Combe, miejsce słynące cudami. Tradycya mówi, że Bertrand, mieszkaniec wsi Fontanès, szukając zaginionego wołu po lesie znalazł go klęczącego przed niewielką figurką Najśw. Panny. Zdumiony, odniósł figurkę do kościoła, a wołu zaprowadził do stajni. Nazajutrz jednak nie było ani figury w kościele, ani wołu w oborze. Idzie więc znowu na dawne miejsce w lesie i tam znajduje wołu klęczącego przed tą figurką. Rozniosło się to po okolicy, zebrała się liczna procesya z duchowieństwem na czele i niedługo wybudowano tam kaplicę, z czasem przebudowaną w świą-

tynię. Było to 887 r. Podczas rewolucyi ukradkiem i tu zbierali się wierni a przełożony z St. Clement przebrany za pasterza (prawdziwie dobry pasterz) odprawiał mszę św. Obsługę duchowną spełniali tu najprzód pustelnicy, dalej zakonnicy, kapelani, a od 1875 Zgromadzenie nasze. X. Corrieux, wikaryusz kapitulny doniósł o tem duchowieństwu dyecezyi osobnym listem, jako o „radosnym wypadku". Było to za czasów X. Boré. Pierwszym superyorem był X. Jan Tourné, mąż prawdziwie apostolski. Znacznie powiększył zabudowania, założył małe seminaryum w czem, materyalnie, dopomagała mu S. Pitra ze Zgrom. SS. Miłosierdzia, siostra kardynała tegoż nazwiska.

Po śmierci X. Tourné w r. 1882 objął zarząd X. L. Dillies. Utrzymał dotychczasowe prace, owszem, nadał im jeszcze więcej dzielności, ale przedewszystkiem rozwinął gorliwość przez dawanie misyj.

Objął nimi całą dyecezyę, z tych misya w samej biskupiej katedrze ukoronowała wszystkie. Zachwycał wszystkich, to też ówczesny biskup X. Gilly idąc za popędem swego serca i uznaniem ogółu, nadał mu godność Wikaryusza Generalnego dyecezyi.

Za niego nastąpiło dla Prime-Combe *millennium* w r. 1887. Przybywały liczne pielgrzymki liczące ogółem do 20·000, mnóstwo księży i 10 Biskupów.

Około kościoła wybudował t. zw. *Verandę* mieszczącą do 2·000 ludzi, nowy wielki ołtarz, kaplicę 7 Boleści N. P., grobowiec dla Zgromadzenia, stacye Drogi krzyżowej, statuę N. Panny, która wśród lasu dominuje nad okolicą — to dzieła X. Dillies.

Wybudował dalej wielki dom dla robotników, którym tu dwa razy na rok udzielają rekolekcyj, domy dla Pań, dla Sióstr Miłosierdzia przybywających na roczne rekolekcye, hotel dla pielgrzymów, magazyn artykułów

religijnych, kaplicę N. S. P. Jezusa i w końcu infirmeryę dla chorych.

Pomimo tylu prac, tylu zajęć X. Dillies zawsze był uśmiechnięty, zawsze miał dla każdego dobre i życzliwe słowo. Nagle jednak przyszła katastrofa. Było to 25. czerwca ostatni dzień rekolekcyi Sióstr, których było 95. Około godziny dziewiątej już część Sióstr udała się na dworzec, gdy dała się słyszeć straszna detonacya pod pokojem X. Superyora. X. Dillies zaraz się domyślił tego przyczyny i pobiegł zakręcić gazometr. Już cały korytarz był w płomieniach, które i jego też objęły. Wyciągniono go, ale w okropnym stanie, cały prawie spalony. Straszne męczarnie znosił z dziwnym spokojem. X. Biskup przybył do niego ze słowami pociechy i udzielił mu swego błogosławieństwa. Umarł 30 czerwca 1897 r.

Statystyka misyonarzy i misyj: Stacyj misyjnych jest 426, co do narodowości: 151 Francuskich, 65 Włoskich, a reszta angielskie, irlandzkie, niemieckie, austryackie, belgijskie i hiszpańskie.

Na 174 misyj na Oceanii i w Ameryce północnej nie ma ani jednej włoskiej, francuskich już 12 a na kontynencie 38.

W Azyi na 100 misyj jest 64 francuskich a 25 na pół włoskich. Na 45 misyj w Afryce 35 jest francuskich a 5 włoskich.

W r. 1895 umarło 135 misyonarzy wśrod prac swych apostolskich, między nimi 4 biskupów.

Z tych 3 Belgijczyków, 5 Niemców, 17 Włochów, 3 Irlandczyków, 1 Rosyanin, 1 Hindus, 1 Bośniak, 7 Hiszpanów, 2 Holandczyków, 1 Dalmatyńczyk, 1 Polak, 1 Hińczyk, 1 Chilijczyk, 1 Bułgar, 75 Francuzów itd. Z tych: 19 należało do Stowarzyszenia misyj zagranicznych w Paryżu, 13 Jezuitów, 8 naszych, 8 Ojców

Św. Ducha, 5 Marystów, 5 Oblatów, 5 ze Stow. Misyj Lyońskich, 5 Ojców Białych.

Według X. Eug. Louvet jest w krajach misyjnych ogółem 13·300 misyonarzy katolickich, 4·500 Braci, 42·000 Sióstr rozmaitych, nie licząc 10·000 rdzennej narodowości Sióstr.

Z tych: 8·500 księży francuskich, 33·600 zakonnic francuskich, 3·600 Braci, francuzów.

Większość budżetu misyjnego pokrywa Francya. W ostatnich 100 latach poniosło śmierć męczeńską 119 księży, z tych 95 Francuzów.

Azya. Chiny. *Peking.* „Roczniki" nasze opisały nam już zbrodnię popełnioną na misyonarzach i Siostrach zamordowanych w okrutny sposób przez Chińczyków w r. 1870 w Tien-tsin. Jedną z satysfakcyj, miało być odbudowanie kościoła przez motłoch zniszczonego. Właściwe roboty zaczęto 1 marca z. r. a musiano dobrze się spieszyć, bo dzień 21 czerwca był naznaczony na poświęcenie. W $2^1/_2$ miesięcy kościół był już pod dachem. Jest pod wezwaniem N. P. Zwycięzskiej, ma 30 m. dł. 11 m. szer. Ołtarz jeden z figurą Najśw. Panny i mieści grobowce poległych ofiar. Przez cały czas roboty czuwało 3 osobnych mandarynów i 12 żołnierzy, nad spokojem ludności.

X. Favier donosi o tych szczegółach Najprzewieleb. X. Generałowi i pisze dalej, że 27 maja odjechał do Pekinu, aby się porozumieć z ambasadorem nad ułożeniem programu uroczystości, gdy nagle otrzymuje 30 maja telegram a później listy donoszące mu o groźnej postawie ludności wśród której rozpuszczono wiadomość, że X. Favier dał 10·000 fr. na kupienie 500 małych dziewcząt i 500 chłopców, które będą ofiarowane i zabite w dniu poświęcenia kościoła. Mandaryni wydali aż trzy proklamacye, ale te wywołały tylko szemranie, że rząd się za-

przedał europejczykom. Dzięki interwencyi energicznej ambasadora francuskiego, wydano nową proklamacyę i wzmocniono straż.

J. Exc p. Gérard ambasador podał 18 czerwca do wiadomości Tsoung-li-yamen'a tj. ministerstwu spraw zagranicznych, że 19 wyjeżdza na tę uroczystość. Osobny pociąg zawiózł go z gośćmi aż do stacyi Ma-kia-pou, stacyi dla wszystkich nie otwartej a ztamtąd barkami do Tien-tsin.

20 czerwca odbyło się w kościele Św. Ludwika uroczyste nabożeństwo: Te Deum, na którem byli obecni p. Gerard i p. Dubail, który ma wkrótce zająć miejsce p. Gérard, gdyż ten przenosi się na inne stanowisko do Europy, byli dalej konsulowie francuscy i kolonia. Nadszedł również oddział marynarzy z okrętu „Comète". Dnia 21 — udali się wszyscy wraz z przedstawicielami władz chińskich, z konsulami Rosyi, Anglii, Danii z attachès wojskowymi na miejsce, gdzie stał nowy kościół.

X. Meugniot wizytator Zgromadzenia w Chinach, w zastępstwie X. Biskupa Sarthou, który z powodu choroby przybyć nie mógł, poświęcił kościół i grobowce a potem odprawił mszę św. Na Podniesienie wojsko dało zwyczajne salwy. Po mszy św. obaj ambasadorowie z przedstawicielami władz obeszli w milczeniu poważnem grobowce poległych ofiar, podczas czego wojsko prezentowało broń — i na tem się zakończyła kościelna uroczystość. Udano się do przygotowanej sali gdzie podniosłą mowę wypowiedział p. Gérard na co odpowiedział wielki mandaryn w imieniu wice-króla, zapewniając o przychylności rządu.

Obiad u Konsula zgromadził jeszcze raz wszystkich.

Szczegóły te, jakeśmy tu wspomieli, wyjęte są z listu X. Favier do Najprzew. X. Generała. Dowiadujemy się, że właśnie teraz tenże X. Alfons Favier został

mianowany przez Ojca św. Brevem z dnia 12 listopada 1897 r. Biskupem koadjutorem X. Biskupa Sarthou z prawem następstwa.

Jao-tscheou. S. Tourrel donosi Przew. Matce Lamartinie, że oddano Siostrom w tej miejscowości pagodę pogańską. Pewnego poranku sam mandaryn przybył, aby po raz ostatni swemu bóstwu oddać pokłon, a następnie kazał pagodę opróżnić, co też zaraz uskuteczniono. X. Dauverchain poświęcił ją na kościół. Daje to dużo do myślenia ludowi, który sobie mówi, że *Tien-Tchu-Tang* (Pan nieba) nasz musi być czemś wielkim, kiedy mu ich bogowie ustępują miejsca.

Ameryka. Meksyk. Prezydent Rzeczypospolitej zwrócił się do X. Biskupa Omezquita z prośbą, aby założył stacyę misyjną na terytoryum Jukatan między dzikimi Indyaninami. X. Biskup powiadomił o tem Delegata Apostolskiego a ten wyraził życzenie, aby pozycyę tę objęło nasze Zgromadzenie.

X. Moral, wizytator, przeznaczył do tego X. Coello i X. Pétul, których X. Delegat przedstawłł Prezydentowi. Ten mile ich przyjął, wyrażając nadzieję, że wtedy będzie dopiero ze strony Indyan spokój, jak przyjmą wiarę chrześciańską.

Przez objęcie tej misyi nabiera zarazem Zgromadzenie prawa do legalnego zamieszkania w Republice.

Stany Zjednoczone. *Niagara University.* Zajęcia tego Domu są: seminaryum i kolegium. Seminarzyści pochodzą z różnych dyecezyj. Jest np. między nimi jeden z dyecezyi d'Oregon City o 3000 mil stąd, lecz większość z dyecezyj poblizkich. Obecnie seminaryum liczy 60, a kolegium 140 uczniów. Fakultet medyczny w Buffalo jest filią tego Zakładu. X. Biskup jest kanclerzem uniwersytetu. Myśl założenia takiego Zakładu podał śp.

X. Biskup Ryan z Buffalo i on dla Konfratrów wyrobił przywileje uniwersyteckie i godności.

Zajęcia są takie, że Konfratrzy nie mogą oddawać się innym pracom, chyba podczas wakacyj. X. Mac Hale np. udzielił rekolekcyj księżom dyecezyi Érie w Pensylwanii.

Dwaj inni Konfratrzy udzielili 9 rekolekcyj Siostrom.

Cuba. *Havanna.* X. Garcia donosi o pracy Sióstr Miłosierdzia w różnych szpitalach wojskowych jak: *Sancti Spiritus*, *Sancta Clara*, *Remedios i Alfonsa XIII*. Pracuje tu obecnie do 100 Sióstr. Rannych bardzo dużo, bo wojna wciąż trwa a powstańcy unikają walnej potyczki, tylko z nienacka napadają. Matka Wizytatorka prowincyi hiszpańskiej, siostra Generała Jovellaz b. ministra wojny, okazała całą gotowość wysłania Sióstr tyle, ile tylko będzie potrzeba.

Z m a r l i.

Julian Chinchon, kapł. 81 lat życia, 56 pow. † 31 grudnia (1897), w Domu Macierzyńskim.

Ludwik Fluarrot, brat, 55. 37. † 5 stycznia w Domu Macierzyńskim.

Jan Engleder, brat, 66, 38, † 11 stycznia, w Wiedniu (Austrya).

Henryk Schnee, kleryk, 20. 3. † 12 stycznia w Gracu (Austrya).

Antoni Maurel, brat, 64. 36. † 20 stycznia w Domu Macierzyńskim.

Rafał Mascarella, kapł. 70. 44. † w Tcheng-Ting-Fou (Chiny).

Adolf Farier, kapł. 36. 17. † 24 stycznia w Tours (Tourrain).

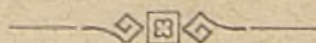
Józef Hohman, kleryk, 24. 5 † 25 stycznia w Theux (prow. niemiecka).

Leopold Iumpertz, kapł. 71. 37. † 1 lutego w Gracu (Austrya).

Meloni Salvator, kapł. 71. 31. † 5 lutego w Genui (pr. Lombardzka).

Ludwik Meyer, kapł. 58. 38. † 12 lutego w Los Angelos (Stany Zjednoczone).

R. I. P.



Kraków. — W drukarni Uniwersyteckiej, pod zarządem Józefa Filipowskiego.